

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

I.

SCENA NA BALU.

Kto znał przed kilkudziesięciu laty towarzyskie życie Lwowa, a mianowicie tej klasy arystokratycznej, która siebie samą, zwykła nazywać par excellence "towarzystwem" przypomni sobie niezawodnie panią, hrabinę Atalję i jej salon. Nie było domu w całej stolicy, któryby miał taką, sławę pod względem gościnności i towarzyskich zalet. Sława ta utrzymała się dotąd w pamięci wszystkich dawniejszych znajomych hrabiny Atalji, a przynajmniej żaden salon późniejszy nie zdołał jej zatrzeć a nawet osłabić. Nadzwyczajnie bogata, nie młoda już wdowa, hrabina Atalja miała jedną już tylko ambicję, a ambicja ta zasadzała się właśnie na utrzymywaniu najświetniejszego salonu, w którymby cały najwytworniejszy i najznakomitszy świat stołeczny, cały tak zwany kwiat społeczeństwa, znaleźć mógł ognisko czy to eleganckiej konwersacji, czy hucznych zabaw.

Była to jedna z coraz rzadszych już dziś dam wielkich, która przechowywała tradycję najświetniejszej epoki salonów francuzkich i posiadała tajemnicę wyższego towarzyskiego życia. Talentem konwersacyjnym, jeniałnym

prawie sprytem towarzyskim, szczególniejszym darem organizacyjnym, dama ta godna, była stanąć obok najznakomitszych gospodyń francuzkich. Posiadała ona wyższe poczucie potrzeb towarzyskich pod względem artystycznym i literackim, jak owe sławne panie Geoffrin, Staël lub Recamier, a z poczuciem tem łączyć umiała cały Effekt wysoce arystokratycznej świetności, która przypominała poniekąd najświetniejsze salony restauracji. Nieznużona w zabiegach, niewyczerpana w pomysłach i środkach, pani Atalja zasługiwała zupełnie na miano genialnej gospodyni. Była prawdziwą, mistrzynią w urządzaniu wieczorków, recepcyjek, herbatek artystycznych, teatrów amatorskich — ale koroną prawdziwą zasług jej towarzyskich bywał bal wielki, który dawała dorocznie wśród zapust. W annalach każdego karnawału bal pani Atalji stanowił prawdziwą epokę, punkt kulminacyjny zabaw zapustnych. Otóż na jednym z tych balów rozpoczyna się opowiadanie nasze. Pani Atalja zajmowała cały osobny pałacyk na jednej z dalszych ulic stolicy, a jedno całe olbrzymie piętro służyło za widownię balu. Wśród długiej amfilady przepysznie

udekorowanych sal i salonów, oblanych magiczną powodzią światła,
roiła się
ogromna ilość gości, w których gronie spotykałeś wszystkie
znakomitości stolicy,
wszystko, co tylko świeciło blaskiem pozycji społecznej, urokiem
piękności lub
sławą dostojnego rodu.
Bal przedstawiał prawdziwie czarodziejskie widowisko. Fale światła,
tony
wybornej kapeli, upajająca woń perfum i balsamiczne, słodkie
tchnienie żywych

kwiatów, których w olbrzymiej ilości użyto do ozdoby sali i salonów,
czarowny
widok tylu pięknych kobiet, zarówno strojnych w wdzięki urody, jak
w przepych
kosztownej toalety, wszystko to składało się na ową, atmosferę
rozkoszną, która
dziwnym szalem zwykła przepełniać serca i imaginacje wstępujących
dopiero w
świat dziewic, a której powabnym wpływom nie zdoła się oprzeć pierś
najsurowszych, najzimniejszych nawet kobiet.
Gdy taki bal zawre wybuchem wesołości, gdy do taktu rozkosznego i
rozmarzonego
walca zabiją tętna tancerzy i tancerek, natenczas jakby za skinieniem
rózyczki
magicznej, wolniej konwenansowe sztywności, osłabia się rygor
form, a
obserwator, z bystrzejszym nieco okiem, dopatrzy najciekawszych i
najcharakterystyczniejszych objawów.
Ta młodziutka jasnowłosa dziewczynka, z tym nadobnym puchem
wiosennym na pięknej
twarzyczce, po raz pierwszy w życiu wstąpiła w progi tego uroczego,
zaczarowanego świata woni, światła i melodji... Jakie pomieszanie,
jaka trwoga

niemal naiwna malowała się na liczku, jak zawstydzonemu oku
spieszyły w pomoc
długie jedwabne rzęsy, kiedy panienka ujrzała się nagle w tym wirze
zabawy!
Pierwszy taniec więcej jej kłopotu i pomieszania niż przyjemności
sprawia;
koniuszkiem swych drobnych paluszków ledwie dotknąć się śmie ręki
tancerza,
nóżki jeszcze nie uzyskały swobody, jakby w obawie, czy nie poślizną
się w
nagłym zakręcie, czy nie zmylą taktu..
Jedna godzina balowa zmieniła do niepoznania pen-

sjonarkę... Patrz, oto przemyka się w wirze tej szalonej polki, której
nuta
ulatuje z instrumentów orkiestry z jakąś irenetyczną, upajającą
werwą!...
Twarzyczka dotąd nieśmiała ożywiła się wyrazem zapału, na licach
nie majączy już
tylko sam rumieniec pomieszania, płoną one już od ożywionej krwi
młodej; rzęsy
już wypowiedziały służbę trwożliwej skromności, czasem już tylko
spuszczają się
na źrenice, a i wtedy przebija się z pod nich żar oka... Kilka
rozkosznych
taktów muzyki, jedno koło zakreślone wkoło sali w tanecznym wirze,
śmielsze
dotknięcie kibici ramieniem mężczyzną — wywołało całą, rewolucję w
młodem
serduszku, przepełniło je tajemniczemi jakiemiś szeptami, otworzyło
mu nowy,
nieznany dotąd horyzont... a jedna godzina, jeden walc stanęły za
epokę w
dziewiczych rojeniach...
Przed rozpoczęciem tańców siedziała, na uboczu nieco, kobieta
piękna, ale z

dziwnie dumnym i surowym wyrazem twarzy. W całym jej zachowaniu się widać było nieprzystępną wyniosłość, prawdziwie odstraszący, zimny ascetyzm. Jest to kobieta, jak sobie szepce młodzież., le plus collet monté, uosobiona pruderja... Pycha Junony z rygiorem Dyany rozsiada się na jej marmurowym czole. Najodważniejszy śmiałek salonowy nie uzuchwiałby się obrazić jej przesadnej skromności pustym słówkiem, a wszystkie lwy z wielkim respektem trzymają się w oddali. Nagle zniknęła z zajmowanego miejsca... Szukamy jej wszędzie i znajdujemy nareście w wirze par, mknących dokoła sali. Czy to ta sama kobieta?... Surowy, ascetyczny wyraz znikł z twarzy, zimny marmur czoła

nabrał rozkosznego inkarnatu, oczy rozpałały ogniem prawie namiętym, pierś skromna faluje tchem przyspieszonym, kibić i ruchy, co przedstawiały przed chwilą takie sztywne, surowe kontury, nabrały dziwnie powabnej gibkości; ponętny czar oblał całą tę kobietę... Ramię jej uwisło rozkosznie na ramieniu tancerza, dłoń ta sama, któraby zaledwie była zniosła przed chwilą pocałunek pełen respektu, drży teraz w dłoni mężczyzny, i uścisk jej odwzajemnia... Ale któż wypowie wszystkie tajemnice balowej atmosfery?... Od tych ogólnych spostrzeżeń, które spisało już niejedno pióro, zdolniejsze od naszego, przejdźmy raczej wprost do osób, z którymi na balu u pani Atalji zaznajomić chcemy naszych

czytelników. Tem śpieszniej nam to uczynić wypada, że osoby te
właśnie zaczynały
w sali balowej zwracać na siebie uwagę innych gości, a mianowicie
złośliwych
matron nietańczących bądźto dobrowolnie, bądź z przymusu.
W jednym z kątów sali znajdowało się maleńkie grono osób, na które
niejedna z
pięknych bohaterek balu spoglądała z pewnym niepokojem. Był to
kącik
obserwacyjny, osobna galeria krytyczna. Galerja ta składała się z
kilku dam i
panien nie pierwszej urody, nie pierwszej młodości, ale za to
pierwszorzędnej,
nieubłaganej złośliwości. Grono to siadywało zazwyczaj podczas
balów u pani
Atalji w jednym i tym samym kącie, obranym z strategiczną
bystrością,
pozwalającym mieć wygodny przegląd całej sali i wszystkich
przesmyków; a w końcu
położonym tuż koło drzwi wiodących

do pokojów, przeznaczonych do wypoczynku, do których spieszyły
pary wprost z
wiru tańcu.
Stanowisko to było tedy wybornie obranym. Sofa, na której siedział
trybunał ten
krytyczny, umieszczona była pod olbrzymim, niemal pod sam sufit
sięgającym
kaktusem, który to kolczasty, najeżony do koła igłami potwór zdawał
się być
wybornem godłem małego gronka. Żaden taniec, żaden drobny
wypadeczek, żaden
strój, żadna fryzura, żaden giest, lub uścisk ręki, żadno spojrzenie i
żaden
uśmiech nie uszedł bystrym oczkom tego niewieściego areopagu.
Wiedziano o tem

dobrze w towarzystwie, a ilekroć jakaś piękność, jakiś strój pyszny, lub jaki

epizodzik balowy zwracał uwagę zgromadzonych, spojierano w ów kąt złowrogi i

pytano:

— Co o tem mówią pod kaktusem?

"Pod kaktusem" przydygotała pani Zenobia i hrabianka Innocenta, stara panna,

mająca już około lat . wielce chuda, wielce ruchliwa i z namiętym zamiłowaniem do plotek i złośliwych komerażów. Oczy jej siwe i małe latały po

sali łowiąc spostrzeżenia, któremi natychmiast dzieliła się z panią Zenobią.

Właśnie szeptała coś przyjaciółce swojej do ucha, wskazując przytem spojrzeniami

na jakąś niewinną ofiarę swej żółci, gdy zbliżył się do kaktusa jakiś jegomość z

farbowanymi bakenbardami, z małym rumianym noskiem i z szkiełkiem w zmęczonym

oku. Był to najszczęśliwszy przyjaciel i zwolennik kaktusowego grona, stary,

przeżyty kawaler bez celu życia, biegający przez dzień cały z salonu do salonu.

zajęty zbieraniem materiałów dla swych miłych przyjaciółek.

— Gdzieś się podziewa! tak długo, panie Edwardzie! — zawołały chórem panie

Zenobia i Innocenta — Cóż nam ciekawego przynosisz?...

— Byłem teraz między młodzieżą — odparł pan Edward, opuszczając szkiełko i

sadowiąc się obok swych przyjaciółek — ale jaką ciekawą, wiadomość przynoszę!

— Mówże pan zaraz i bez wstępu! — zawołała panna Innocenta.

— Byłem świadkiem wielkich debat i burzliwego głosowania.

Debatowano nad tem,

kogo ogłosić królową dzisiejszego balu... Wystawcie sobie panie... ale nie,

proszę zgadywać...

— Pani Walerja? baronowa Marja?

— Ale gdzież tam... Ogromną większością głosów obwołano królową hrabinę Rokicką!

— Panią Adele!

— Oui, mesdames! Pani Adeli przyznano palmę pierwszeństwa, berło piękności i

miano beauté éternelle!

— A, oui, beauté... vieille!

— Młodsze pokolenie poniosło klęskę zupełną!

— Ależ ta pani Rokicka, c'est une femme de quarante ans... Mój Boże, czas by już

dla niej... — ozwała się pani Zenobia, czyniąc gest złośliwy.

— Mais avouez, że ślicznie wygląda— przerwał pan Edward, — ta kobieta to

nadzwyczajne zjawisko, przed dwudziestu laty nie była ładniejszą...

Przedziwnie

się umie konserwować...

— O tak, nieme dans ses folies... Ha, cóż

robić, uznajemy królowę i akredytujemy pana przy jej dworze...

— O już to dwór ma liczny! — szepnęła złośliwie panna Innocenta.

— Biedny ten

Rokicki! Comme je le plains! Zazdrość i taka... beauté éternelle, jak wy

mówicie, podwójne nieszczęście!...

— Et monsieur Octave! — wtrąciła Znacząco pani Zenobia.

— A ten pan Oktaw... To kuzyn przecież hrabiego. Rokicki go proteguje...

— I pani Rokicka także... — wtrąciła szybko hrabianka Innocenta — niechce

powtarzać rozmaitych rzeczy, a zresztą, po co to mówić, każdy to widzieć może.

W tej chwili muzyka zagrała inwytację do walca. Pani Zenobia przerwała szepty z przyjaciółką i spoglądając po sali, zawołała:
— Otóż i ona! Pani Adela...
— I z nierozłącznym panem Oktawem... Ach! co za szept czuły! Regardez done...
jak on jej patrzy w oczy, a ona! Pauvre generał Rokicki!...
Para, która wywołała takie złośliwe ucinki pod kaktusem, godna była istotnie uwagi a nawet admiracji. Na ramieniu młodego bardzo mężczyzny opierała się zaprawdę prześliczna kobieta. Pani hrabina Adela, czyli pani generałowa Rokicka, nie była już kobieta najpierwszej młodości, a w owych czterdziestu latach, przypisywanych jej pod kaktusem, nie było wiele przesady. Mimo to jednak kobieta ta wyzywać mogła w szranki najpierwszą, i najmłodszą piękność stolicy.
Bardzo tylko bystry i bardzo doświadczony obser-

wator odgadł by był wiek pani Adeli. Jeżeli w twarzy jej pięknej nie znać było owej niepodobnej do określenia świeżości, która jakby tchem wiosny oblewa młodzieńcze twarzyczki, to za to uderzał w niej całą swą pełnią, blask życia, zachwycał pyszny rozkwit wdzięku i urody. Cała jej postać zdawała się być ideałem piękności kobiecej, dojrzałej i skończonej...
Głosy, o których raportował pod kaktusem p. Edward, padły istotnie na godny przedmiot. Jeżeli kto zasługiwał na miano królowej dzisiejszego balu, to z pewnością, pani Adela. Ubrana w przepyszną suknię żółtą, z dyademem brylantowym

w czarnych włosach, kobieta ta była zjawiskiem prawdziwie imponującym. Wysokiego wzrostu, zbudowana z nadzwyczajną gracją, pani Adela miała duże, czarne oczy, pełne głębokiego wyrazu i uroczych blasków, czoło nieco niskie ale z szlachetnym wdziękiem sklepione, a na całej swej pięknej twarzy ów nieuchwycony powab, który czuć i uwielbiać, ale opisać się nie da. Młody mężczyzna, na którego ramieniu się opierała, mógł liczyć lat zaledwie dwadzieścia dwa. Słusznego i wzrostu, wysmukły, zanadto prawie delikatnych kształtów, blondyn, z wąsikami małymi, miał w dorodnej twarzy swojej coś chłopięcego jeszcze. Przebiła się w niej swoboda i naiwność dziecka, ale dziecka upartego i popsutego. Rysy twarzy nadzwyczaj subtelne i wytworne, cera gładka i delikatna, jakby niewieścia, miękkość uśmiechu i całego wyrazu twarzy, coś pieszczonego w postaci, wszystko to składałoby się na typ łagodny, wyłącznie salonowy, gdyby nie ciemno-niebieskie oczy,

głębokie i namiętne, które jednym poważniejszym spojrzeniem umiały nadać twarzy charakter ważniejszy i podnioslejszy. Jak to się już czytelnik dowiedział z rozmowy poosłuchanej pod kaktusem, był to Oktaw, kuzyn pani Adeli. Nachylił się ku niej i z zalotnym uśmiechem coś jej mówił, ona słuchała z upodobaniem, a nagle ramię Oktawa oplótł ponętą kibić Adeli, dłoń jej spoczęła w jego ręce i piękna para rzuciła się w odmet walca...

W salonach pani Atalji bywało mnóstwo uznanych i sławionych
piękności, a bal
obecny zgromadził całą najświetniejszą Florę arystokratyczną, kto
jednak
bezstronnem okiem oglądał migające się pary, ten musiał przyznać, że
ze
wszystkich najpowabniejsza byli Adela i Oktaw. Na twarzy tancerza i
tancerki
malowało się upojenie przyjemne, taniec ich miarkowany i
konwenansowy zrazu,
stawał się w miarę przyspieszającego taktu muzyki coraz szybszym i
namiętniejszym... Wszyscy nietańczący ścigali okiem tę parę, która
zdawała się
być plastycznym wcieleniem tych tonów, które z orkiestry rozlewały
się
czarodziejską falą po sali...
Muzyka grała walca, w którego wdziękach zdawał się być zaklętym
cały jeniusz
tego tańca. Była to kompozycja znakomitego niemieckiego maestra,
pełna
niezrównanej werwy, charakterystyki i uczucia. Była to apoteoza
walca... Z
sentymentalnych, słodkich, pełnych wdzięcznego liryzmu tonów
wstępnych wybuchał
szalony i odurzający wir taktów, które zdawały się porywać tańczące
pary swym
demonicznym prądem i rzucać je

w zamęt najwyższego upojenia. W przedziwnej tej kompozycji, która
ówczesnego
karnawału brylantem była tańców, łączył się sentymentalizm i
rzewność liryczna z
rozkoszną, swawolą, wytworną gracją stylu z szaloną, pustą werwą,
słodkie
marzenie miłosne z fanatycznym zachwytem bachantek. — Werther
podawał dłoń

Filinie, tęsknica Gretchen rozpryskiwała się w demoniczne takty
Mefista...
Niesiem na skrzydłach tej przedziwnej muzyki Oktaw i hrabina Adela
ledwo dotykać
się zdawali posadzki sali. Hrabina Adela nieporównaną była tancerką,
a Oktaw
gracją i zgrabnością godnym był jej towarzyszem. Drobną, powabną
nóżką hrabiny
posuwała się z eteryczną lekkością, pierś jej prześliczna, godna zdobić
cyteryjską boginię, nachylała się ku piersi Oktawa, oko lśniło
rozkoszą i
rozmarzeniem, a pełne, nadobne usta szukając tchu, rozchyłały się
lekko, jakby
do miłosnego szeptu..
Tymczasem kółko pod kaktusem powiększyło się znacznie. Było to
najwygodniejszy
miejsce, z którego oglądać można było tańczące pary; pani Zenobia i
panna
Innocenta mogły tedy popisywać się z swemi minkami przed licznem
audytorjum. Tym
razem jednak nie dano przyjść do słowa obom żeńskim Zoilom.
Mężczyźni stojący w
tem miejscu niewyczerpani byli w uniesieniach i pochwałach.
— Śliczna kobieta!... — zawołał jeden — et comme elle danse,
comme elle
danse!...
— Co za gracia, co za szlachetność ruchów, jaki

powab! To fenomenalna kobieta! Od lat piętnastu pamiętam ją taką,
wiecznie
piękną i wiecznie młodą... — Et toujours amoureuse... Miłość
konserwuje... —
zaśmiała się pani Zenobia, mówiąc niby szeptem, ale zawsze dość
donośnym głosem.
— Chwalicie tancerkę, ale bo i tancerz godzien pochwały, — ozwał
się ktoś z

boku. Dobrana para!

— O i bardzo! — wtrąciła jedna z towarzyszek krytycznego trybuna u pod kaktusem.

— Istotnie, tak tylko zakochani tańczyć potrafią.

— Tant mieux pour ce petit Octave...

— Tant pis pour ce grand général...

— Szczęśliwy Oktawek!... Rozmawiające kółko nie uważało, że zbliżył się doń

jakiś wysoki, imponującej postawy mężczyzna, w podeszłym już wieku, zupełnie

siwy, ale pełen jeszcze zdrowia i czerstwości. Skoro go spostrzeżono, nastąpiło

milczenie, a mężczyźni ustąpili na bok, z oznaką głębokiego uszanowania. Był to

jenerał, mąż Adeli, hrabia Rokicki.

Gdyby jenerała ujrzała była która z cenzorek pod kaktusem nieco wcześniej,

dostrzegłaby była swym bystrym wzrokiem niezawodnie, jak twarz jego przed chwilą

drgnęła z lekka i okryła się żywym rumieńcem gniewu. Jenerał nie słyszał całej

rozmowy pod kaktusem, ale słowa płocze jednego z mężczyzn:

"Szczęśliwy Oktawek!"

dobiegły jego uszu. Wtedy to wystąpiło na szlachetną twarz jenerała przelotne

wzburzenie, i wzrok groźnie zwrócił się ku autorowi tej uwagi.

Trwało to chwilę

tylko. Jenerał był snąć panem siebie, bo spo-

kój zupełny i obojętność powróciły na twarz jego, skoro poznał, że go uważano.

Zostawszy chwil kilka na miejscu, jenerał przeszedł na drugą stronę sali i

usiadł samotnie na sofie. Czując się po za horyzontem obserwacji, jenerał utkwiał

oczy w Adelę i Oktawa, którzy, jakby szydząc ze znużenia, walcowali ciągle, i ścigał ich okiem dokoła sali. Z twarzy jego ustąpił dostoyny spokój, którym się zazwyczaj odznaczała, a natomiast wybił się na niej wyraz przykrego rozdrażnienia a nawet gniewu.

Korzystając ze sposobności, przypatrzymy się bliżej tej postaci...

Jenerał

Rokicki musiał mieć lat sześćdziesiąt i kilka, twarz jego jednak, postawa i

ruchy zachowały, jak to już wspomnieliśmy, całą pełnię męskiej siły i żywotności. Musiał być kiedyś pięknym mężczyzną, w całym znaczeniu tego słowa, a

i teraz jeszcze uchodził za szlachetny typ osiwiąłego żołnierza. Białe jak

mleko, ale niezmiernie bujne i gęste włosy ujmowały charakterystycznie twarz

jego piękną i wyrazistą, pełną dystynkcji i marsu zarazem, a odbijały wraz z

siwym wąsem dziwnie od bystrego dużego oka, w którym nie wygasły jeszcze

bynajmniej ogień i żywotna werwa.

Walc nie chciał się skończyć, a cierpliwość jenerała narażoną była na ciężką

próbę. Na twarz jego występował już nieraz wcale stanowczy wyraz niepokoju, gdy

naraz spotkał się z trzema parami przenikliwych, świdrujących oczek, z pod

kaktusa. Złośliwe obserwatorki wzięły go na cel, a spojrzenia ich zwracały się

ciągle od jenerała na tańczującą parę i na odwrót. Sytuacja jenerała stała się

tem przykrzejszą. Z głęboką odrazą

odwrócił się od złośliwych kumoszek, a w tej chwili przerwano także i walc,

który dla jenerała zdawał się trwać wieki całe ..
Jenerał powstał i chciał iść ku żonie. Zwykle jednak zamieszanie,
jakie powstaje
w sali po każdym, dopiero co skończonym tańcu, powstrzymało go, a
tymczasem
widział, jak Oktaw uprowadzał z sobą Adele do ubocznych salonów.
Zrobił ruch
nagły i szybkim krokiem postąpił naprzód, jakby chciał dogonić
odchodzącą parę,
gdy znowu ujrzał się pod krzyżowym ogniem obserwacyjnego kąta
pod kaktusem...
Cała baterja oczu skierowaną była na biednego jenerała. Towarzystwo
z pod
kaktusa zgromadziło cały swój komplet, a już siedm par
przenikliwych oczu,
chciwych skandalu czatowało na jenerała, aby dać natychmiast temat
czternastu
językom, chciwym plotek złośliwych... Znano jenerała i wiedziano
dobrze, że
niesłychanie jest zazdrosnym.
Jenerał zmuszonym był tedy zamaskować swój ruch poprzedni. Nie
zwolnił wprawdzie
szybkiego kroku, ale zmienił cel jego i przystąpiwszy do jakiegoś
poważnego
starca, ujął go za ramię i począł się z nim przechadzać po sali...
Po dłuższej rozmowie, jenerał, który po kilka razy oglądał się do koła,
jakby
szukał Adeli, pożegnał znajomego i zwrócił się ku ubocznym
salonom. Droga
prowadziła koniecznie po pod kaktus, a straszliwe Zoilki nie
spuszczały z oka
swej ofiary. Jenerał przybrał jednak maskę zupełnego spokoju, twarz
jego była
swobodna i wesoło uśmiechnięta. Zbliżając się pod kaktus

zatrzymał się i powitał grzecznie, choć nie bez odcienia gorzkiej ironji,
siedzące tam damy.

Pani Zenobia obsypała go gradem grzecznych słówek, a po takim wstępie wołała

dalej:

— Ach, monsieur le comte, jakże dziś hrabina ślicznie wygląda!! Que vous êtes

heureux! Pani Adela obwołaną została królową balu, i nigdy tron piękności

godniej nie był obsadzonym.

— Właśnie jej szukam, mojej królowej — odparł z swobodnym uśmiechem generał —

zapewne wyszła tam do ubocznego salonu...

— O dawno już! — zawołała pospiesznie dama z pod kaktusa — jeszcze przed

kwadransiem z panem Oktawem. C'est un très-charmant jeune homme, ten kuzyn pana

hrabiego, sprowadziłeś go generał na prawdziwe nieszczęście naszej młodzieży,

która w nim nie lada znajdzie rywala. Il fera son chemin — dodała z niewypowiedzianym złośliwym uśmiechem — tak niedawno tu jest, a już wszystkim

się podobał. Un si joli garçon, si spirituel, si charmant...

— Pójdę mu natychmiast zakomunikować tę pochlebną opinię... — przerwał generał,

udając uśmiech swobodny, choć czuł dotkliwie złośliwość tych pochwał — i

przyszłę go tutaj, aby pani podziękował...

Rzekłszy to generał zwrócił się na piętach i z lekkim ukłonem udał się do

pobocznych salonów. Widać było po jenerale, że jadowite słówka, którymi go

obsypano pod kaktusem, rozdrażniły go do najwyższego stopnia, walczył jednak z

sobą, aby zachować minę jak najswobodniejszą, we wszystkich pokojach bowiem było

dużo osób, a generał Rokicki był zanadto znakomitą i dostojną postacią, aby się wszystkie oczy nie zwracały ku niemu. Witany ze wszystkich stron głębokimi ukłonami, które oddawał z miną człowieka, którego wysokie stanowisko ozwyczaило dostatecznie z hołdami, generał kroczył dalej powoli przez amfiladę salonów, szukając wzrokiem swej żony... Uprzedźmy na chwilę generała i zobaczmy, co się tymczasem działo z Adelą i Oktawem. Na samym końcu całego szeregu pokoiów, znajdował się mały salonik letni z jedną ścianą, całą podwójnie oszkloną. Pani Atalja była wielką miłośniczką kwiatów, a jeżeli wszystkie salony balowe ustrojone w nie były bogato, to salonik oszklony wyglądał, jak czarodziejski gaik najpyszniejszych egzotycznych krzewów i roślin. Salonik był sztucznie ogrzany, a mimo szklanej owej ściany panowała w nim prawdziwie letnia atmosfera, którą balsamiczny oddech kwiatów zaprawiał wonią i świeżością. Pokój ten był prawdziwym cackiem. Ściany jego okryte były kosztowną mozaiką i sztukaterją mistrzowskiej roboty, sufit strojny był w rzeźby najczystszej klasycznego stylu, przedstawiające historję Psyche... Jedna tylko otomana i kilka taburecików stanowiły całe umeblowanie, a duża bronzowa lampa, zwieszająca się z góry, oblewała łagodną falą światła przestrzeń pokoju, ubierając kształty krzewów i kwiatów w fantastyczniejszą jeszcze postać... Na dworze była noc zimowa, jasna i pogodna... Szklana ściana saloniku wydawała

się furta przejrzystą.

do zaczarowanych jakichś, fantastycznych krain... Przeglądał przez nią, ciemny

lazur nieba, wyiskrzony gwiazdami, oblany miękkim światłem księżycy, i

połyskiwały kryształem i brylantami konary drzew, szronem zimowym okryte...

W głównej sali, podczas przestanku między tańcami, odezwała się muzyka

koncertowym jakimś utworem włoskim, pełnym słodyczy i namiętności, a tony

stłumione, łagodne, dolatywały do saloniku, dodając mu nowego, niewypowiedzianego uroku.

Tu znajdowali się Oktaw i Adela. Wyjątkowym zrządzeniem, nikogo oprócz nich nie

było w tym prześlicznym ustroniu.

Oktaw wprowadziwszy po pod ramię generałową do tego pokoju, usiadł z nią razem

na otomanie. Zmęczona tańcem hrabina Adela rzuciła się z niedbałą gracją, na

otomanę. Przyspieszony obieg krwi ubarwił żywym rumieńcem twarz jej piękną,

przepełnił czarne oczy jaśniejszemi jeszcze blaskami, pierś, której wycięta

suknia balowa nie zazdrościła oku, falowała rozkosznym drzeniem...

Oktaw, usiadłszy obok hrabiny, nie wypuszczał z rąk swych jej dłoni... W takiej

pozycji hrabina przebyła chwil kilka, jakby nie mogła się oprzeć przyjemności

odpoczynku. Nagle jednak, czy to przychodząc do siebie z zapomnienia, czy

uczuwszy silniejszy uścisk dłoni Oktawa, Adela podniosła nagle opuszczoną w tył

na poręcz otomany głowę i wyjmując rękę swą z rąk młodego mężczyzny, usunęła się

dalej. Jakby pod wpływem ja-

kiegoś przypomnienia, przebiegł uśmiech piękne usta i Adela zapytała nagle:

— Ale, ale, kuzynku, twoja historia, zaczęta przed walcem... Eh bien, et

après?...

— Ach zapomniałem, hrabino... — zawołał szybko Oktaw — stanęliśmy na walcu...

Nieprawdaż?

— To jest, stanąłeś na walcu... — poprawiła hrabina. — Tylko proszę ściśle

trzymać się roli narratora...

— Będę się starał. Lecz przy tobie, hrabino, mimowolnie... on confond les rôles.

Po walcu odprowadzam baronową do jednego z ubocznych pokojów.

Zmęczona siada na

kanapie, znużenie po tańcu jeszcze piękniejszą, ja, czyni, ale nigdy od ciebie,

hrabino...

— To nie należy do tekstu...

— O, owszem, należy zupełnie! Wszak porównania uchodzą autorom. A zresztą to

rzuca światło na sytuację, i to mnie uniewinnia...

— I ją także?...

— Mais certainement, ma cousine... Im kosztowniejsza zdobycz, tem zapamiętalesze

usiłowanie, a im zapamiętaleszy przeciwnik, tem trudniejszy opór...

— Albo więc ona była fenomenalną, niesłychaną pięknnością, albo pan byłeś

bezprzykładnie zapamiętałem, albo jedno i drugie..

— Istotnie jedno było i drugie... Ona była bardzo piękną, a ja byłem bardzo

zachwyconym, a przecież sytuacja ta była, co do stopnia obu tych warunków, tylko

słabym, bardzo słabym cieniem mojej sytuacji obecnej... — odparł Oktaw i piękny swój wzrok utkwiał w hrabinie.

— Przestań pan tedy — rzekła hrabina tonem karcącym, ale łagodnym — nie Ciekawam dalszego ciągu...

— De grace, hrabino, będę już teraz obiektywnym, jak autor, jak historyk, jak profesor matematyki! Otoż, wracając do mojej przygody, wziąłem ją za rękę, która jakkolwiek była piękną i drobną, na honor, nie wytrzyma porównania z twoją, hrabino... Baronowa udawała jeszcze zagniewaną, dłoń jej opierała się, ale słabo... nareszcie pod wpływem moich próżb spoczęła w mojej dłoni, uścisnąłem ją czule, biała rączka z drzeniem odpowiedziała na ten uścisk, przycisnąłem ją, do ust i ucałowałem z uniesieniem...

Podczas tego opowiadania hrabina Adela jakby nie czuła, że Oktaw tłumaczył jej swe słowa plastycznie. Ręka Adeli machinalnie spoczęła w ręku Oktawa, który uścisnął ją i namiętami okrywał pocałunkami... Nagle hrabina wyrwała dłoń swą Oktawowi i powstając szybko, rzekła z uśmiechem:

— Dostyc tego... La suite à demain!...

— Hrabino, biorę cię za słowo! La suite à demain!

Adela wyszła z saloniku a tuż za nią postępował Oktaw. Na samym progu hrabina zatrzymała się nagle, zadrżała z lekka i zbladła...

Tuż przed nią stał mąż jej, generał Rokicki... Wyniosła, imponująca jego postawa zdawała się być jeszcze okazalszą, twarz okrył lekki rumieniec gniewu. Oprócz

tego rumieńca twarz cała zdawała się być spokojną, ale za to oczy
jenerała
zmieniły się do niepoznania. Z pod siwych brwi, które jakby najeżyły
się, od
gniewu, utkwily

one w twarzy Adeli groźnym, strasznym zaprawdę wyrazem...
Hrabina jakby się ugięła pod tem spojrzeniem... Oczy jej spuściły się
ku ziemi,
twarz bardziej jeszcze zbladła. Wzrok jenerała odwrócił się od żony i
spoczął na
Oktawie, który poraz pierwszy w życiu uczuł wrażenie trwogi. Wzrok
Rokickiego
zdawał się pytać i grozić zarazem, badać i gromami obrzucać. Pod
spojrzeniem tem
stał Oktaw jakby pod pręgierzem...
W tej chwili, jakby scenie tej całej brakło jeszcze dostatecznej
drastyki,
odezwały się z głównej sali znowu nuty walca. Był to ten sam walc, w
którym
podziwiano niedawno Oktawa i hrabinę. Powtórzono go teraz na
żądanie
towarzystwa.
— A to ten sam walc, który się wam tak podoba!
— ozwał się z gorzkim i ironicznym naciskiem jenerał.
I zwracając się do Oktawa uchwycił go silnie za ramię i rzekł
szczególniejszym
tonem:
— Wszakże zaangażowałeś Adelę do tego walca?...
Oktaw był tak pomieszany, że nie słyszał zapytania, uczuł tylko, jak
dłoń
jenerała ścisnęła ramię jego żelaznym kleszczem...
— Adelo — odezwał się teraz jenerał — Oktawek prosi mnie o
protekcję u ciebie...
Pragnie koniecznie jeszcze przetańczyć z tobą tego walca... Wszak
prawda?

— dodał do Oktawa stanowczo i z naciskiem, który nie przypuszczał odmowy.

— Tak jest... — odparł Oktaw, wychodząc potrosze z pomieszczenia.

Jenerał podał ramię żonie a rozpogadzając nagle twarz swoją, rzekł do Adeli

znaczącym tonem:

— Dziwna rzecz, z jakim zajęciem dziś cię obserwują. Musisz dziś prześlicznie wyglądać, Adelo...

Hrabina nie potrzebowała tej przestrogi. W jednej prawie chwili twarz jej

przybrała wyraz sztucznej, ale wybornie udanej swobody, a około z bladych ust

pojawił się wesoły uśmiech. Małżonkowie weszli tak do głównej sali, a za nimi

postępował Oktaw, który znalazł dość czasu, aby powrócić do kontenansu.

Jenerał podprowadził żonę pod straszny kaktus: spojrzął nieznacznie i rozkazująco na Oktawa, a gdy ten się zbliżył z grzecznym ukłonem do Adeli,

ustąpił mu jej z uśmiechem, pełnym spokoju i zadowolenia. Gdy Oktaw i Adela

wysunęli się już w tańcu na salę, jenerał zwrócił się do dam pod kaktusem,

usiadł sobie tuż koło pani Zenobii i począł z nią wesoło rozmawiać.

Obserwacyjne grono pod kaktusem zostało zbite z tropu. Jenerał był tak spokojny,

tak rozmowny, tak miły, a nawet pusty! z takim uśmiechem zadowolenia patrzył na

tańczącą żonę, takie dowcipne robił spostrzeżenia i uwagi!...

Tymczasem Oktaw tańczył walca z hrabiną. Patrzano znowu uważnie na piękną parę,

ale nikt nie dostrzegł w niej zmiany. Jakżeż się jednak walc ten różnił od

pierwszego! Hrabina zanadto była damą wielkiego świata, aby nie umiała wybornie maskować prawdziwego swego usposobienia — a jednakże bystrzejszy obserwator byłby domyślił się łatwo, że owa swoboda na jej pięknej twarzy jest udaniem, okupionem walką ciężką i bolesną...

Na twarzy hrabiny nie było już tego rumieńca, który przed godziną tańczącej nadawał tyle rozkosznego wdzięku, oczy na pozór pogodne, nie mogły utaić wyrazu jakiegoś trwożnego niepokoju, a nigdy zapewne żadnej kobiety nie znużyło tyle bolesne łkanie, ile nużył i męczył Adelę ten uśmiech kłamany na pobladłych ustach. Hrabina przetańczyła raz tylko około sali... Podczas krótkiego jej tańca wzrok generała kilka razy przelotnie, lecz bystro zwracał się do Adeli, a wtenczas duże jego oczy rozplomieniały się prawie groźnie... Gdy hrabina usiadła, zbliżył się do niej generał i rozmawiał z nią i z Oktawem wesoło. Zdawał się być w najprzyjemniejszym humorze. Cała ta scena balowa była nieporównanym wzorem wyższej komedji salonowej. Sekret tej komedji nieznanym był nikomu z licznych gości, nawet pod kaktusem niedomyślano się niczego. Po krótkiej chwili odpoczynku generał wraz z żoną opuścili salę balową. Oktaw zbliżył się do generała, aby się pożegnać. Generał skłonił mu się z lekka, i nie podając mu ręki, rzekł:

— Pan wiesz zapewne, że jutro wyjeżdżamy na wieś, na kilka miesięcy... Czy nie mówiłaś mu o tem Adelo?
— Zapomniałam istotnie... — rzekła hrabina pomieszany tonem. Oktaw skłonił się w milczeniu. Nie mógł wiedzieć o wyjeździe generała, tak jak nie wiedziała o tem Adela, jak nie wiedział i nie myślał nawet o tem przed godziną jeszcze sam generał. Apodyktyezność, z jaką Rokicki niespodziewaną tę wiadomość oznajmił, nie dozwalała ani zdziwienia, ani zapytań, a tem mniej opozycji.

II.

OSOBY DRAMATU.

Nim przejdziemy do opowieści dalszych wypadków, które zaszły po opisanej w poprzednim rozdziale scenie balowej, zaznajomić musimy czytelnika bliżej z głównymi osobami naszego małego dramatu. Zaczniemy od generała, którego co dopiero poznaliśmy u pani Atalji. Hrabia Karol Rokicki należał do tych pierwszorzędných osobistości, które zda się wszystkie możliwe otrzymały warunki, jakich tylko wymagać może stanowisko wysoce znakomite w społeczeństwie. Z rodu świetnego, który wiązał się do najstarożytniejszych i najświetniejszych tradycji rycerskiej naszej przeszłości, dziedzic Ogromnej fortuny, którą, oszczędnością i niezmordowaną zapobiegliwością coraz bardziej pomnażał, niepospolitych zdolności umysłu, szlchetnych zalet

serca, w końcu, co niemałą zwykło odgrywać rolę w świecie, pełen urody okazałej.

— Rokicki powołany był do najwyższych zaszczytów w swem społeczeństwie, i byłby je niezawodnie piastował, gdyby był swoim dziadem lub pradziadem,

gdyby nie w XIX, ale w XVII lub XVIII rodził się, był wieku. Mimo niesprzyjających stosunków Rokicki przecież doszedł jeźli nie do najwyższych dygnitarstw, to zawsze do bardzo dostojnych i wysokich stopni hierarchicznych. Nie mając w własnym kraju sposobności do publicznych zasług, Rokicki długi czas przebywał w obcych państwach. W młodości obrał sobie zawód wojskowy, a w szeregach armji polskiej dosłużył się stopnia pułkownika i zjednał sobie wysokimi zdolnościami i nieustraszonem mężstwem rozgłos dzielnego wodza i żołnierza. Z rycerską odwagą, z pociągiem do śmiałych, nieraz szalonych nawet hazardów wojennych, łączył krew zimną, bystrość i roztropność. Po katastrofach z r. znalazł się hr. Rokicki we Francji. Mając liczne stosunki z najwyższemi kołami rządowemi, Rokicki wystarał się rychło o akt naturalizacji i poświęcił się dalej karierze wojskowej. Przyjęty w szeregi w stopniu pułkownika, wkrótce dosłużył się szlif jeneralskich. Zdawało się, że Rokicki nie porzuci już nigdy zawodu żołnierskiego. Oddany bowiem z głębokiem zamiłowaniem sztuce wojennej, korzystał z rozmaitych wypadków politycznych, aby ofiarować usługi swe rozmaitym rządóm. W każdej armji liczył się do najzdolniejszych jenerałów i w każdej chwalebne zostawił po sobie wspomnienia.

Ozdobiony mnóstwem wysokich orderów, obsypany tytułami i dostojnictwami różnych dworów, Rokicki marzyć mógł o najwyższych zaszczytach. Jenerał skończył był wówczas lat czterdzieści. Cisza zupełna w Europie, brak pola do popisów wojennych, a w końcu tęsknota do kraju, w którym ogromny posia-

dał majątek — zrządziły inaczej. Rokicki nosił się już z myślą powrotu, gdy bardzo ważna okoliczność myśl tę zmieniła w decyzję rychlej, niżby się tego spodziewać można było. W Paryżu poznał Rokicki młodą, prześliczną wdowę, Polkę, która zarówno świetnością urody, jak wykształceniem, zarówno rodem, jak fortuną, prawdziwie niepospolitem była zjawiskiem. Kobieta tą była Adela, dzisiejsza żona Rokickiego. Jenerał był wówczas w całej pełni męskiego wieku i liczył się do rzadkich typów męskiej urody. Jakkolwiek znacznie starszym był od Adeli, różnica wieku przecież nie była wcale rażąca. Jenerał zakochał się poraz pierwszy w życiu, a zakochał się głęboko, namiętnie. Wyposażony we wszystkie warunki podobania się najwybredniejszej nawet kobiecie, otoczony tym urokiem szlachetnym, jakiego przydawać zwykła sława już głośna i znakomita — Rokicki nie długo czekał na wzajemność. W rok po poznaniu się z Adelą, jenerał wrócił z nią, jako z żoną, do kraju. Jakkolwiek antagonistą pod względem zapatrywań się politycznych, Rokicki, poprzedzony rozgłosem imienia i splendorem zaszczytów, osiągniętych u innych

dworów, znalazł w rządzie szacunek i bardzo przychylne względy.
Powoływany do
wysokich służb honorowych, wyszczególniony zaszczytami — generał
umiał przecież
usunąć się w życie prywatne i oddać się całą duszą domowemu
szczęściu.
Czy je istotnie znalazł, o tem z wielu stron powątpiewano. Faktem
przecież było,
że Rokicki znalazł w małżeństwie swem wszystkie potrzebne warunki
szczę-

ścia. Kochał namiętnie Adele, która nawzajem całą siłą szlachetnego
niewieściego
serca oddaną była mężowi. Mimo tak silnego wzajemnego uczucia
horyzont szczęścia
Rokickich zasepiał się bardzo często chmurami.
Była to zagadka, łatwa do wyjaśnienia. Klucz do niej znajdował się w
charakterach generała i Adeli.
Generał należał do tych zaiste nieszczęśliwych ludzi, którzy z
przedziwną
łatwością stają się samym sobie i drugim przyczyną prawdziwego
udręczenia.
Rokicki był zazdrosnym aż do słabości; zazdrosnym do tego stopnia,
że w rzadkich
chwilach refleksji i spokojnego opamiętania się uciuwał wstyd
głęboki, i
własnemu usposobieniu złorzeczył. Fatalne to usposobienie hrabiego
wystarczało
już samo przez się do częstego i to bardzo przykrego zakłócenia
harmonji
domowej. Na nieszczęście nie było to wszystko.
Rokicki znachodził powody do zazdrości nie tylko wewnątrz siebie,
ale i
zewnątrz. Jeżeli co było zdolnem spotęgować jego zazdrość, to
właśnie charakter

i usposobienie Adeli. Piękna hrabina była zbyt często przyczyną
mniejszych lub
większych nieporozumień. Do trzydziestu pozorów, które Rokicki
sobie sam
wymarzył, dodawała Adela drugich trzydzieści swem postępowaniem.
A przecież mocno się mylił każdy, kto upatrywał w Adeli niewierną
żonę. Hrabina
kochała męża swego szczerze. i wierną mu była małżonką. Czytelnicy
gotowi nam
zarzucić sprzeczność w takiej charakterystyce hrabiny Adeli.
Wytłumaczyć się
tedy musimy obszerniej.
Hrabina Adela należała do kobiet, stokroć lepszych od swej reputacji.
Kobiety
takie są daleko rzadsze od

tych, z których reputacją rzecz ma się znowu przeciwnie. Adela była
w gruncie
serca kobietą cnotliwą i szlachetnąT żona przywiązana i wierną —
wszystkim tym
jednak, którym pozory wystarczają zarówno do pochwał, jak do
potępienia, wydać
się musiała nieraz lekkomyślną.
Przyczyna tego leżała częścią w przyrodzonym usposobieniu, częścią
w wychowaniu
hrabiny, częścią w kolejach jej życia. Adela w dzieciennym prawie
wieku straciła
matkę, a jakkolwiek najstaranniejsze i najwytworniejsze otrzymała
wychowanie,
wyrobiła się w niej przecież owa niezawisłość i śmiałość w obec
świata, która z
zwykłym bywa wynikiem podobnego osamotnienia. Wzrok matki,
czuwający nad każdym
niemal ruchem córki, samo zresztą poczucie troskliwej i bacznej
opieki

macierzyńskiej, 'wyradza w duszy niewieściej pewną łagodną
trwożliwość, potrzebę
powodowania się obcym wpływem, skromną restrykcję w obec świata
i własnych
upodobań.

Rozpieszczona przez ojca, nieznająca matki, Adela pozbawiona była
tego żywiołu

wychowania, który niczem prawie nie da się zastąpić. Nadzwyczajnie
żywego

usposobienia, wesoła niemal do pustoty, chciwa zabaw, lubiąca się
podozać, pełna

przelotnych, choć niewinnych uniesień, hrabina odbijała, panną
jeszcze będąc, od

rówiennic swoich, patrzących na świat i ludzi z pewną wstydliwą
bojaźnią,

przyzwyczajonych do ścisłego przestrzegania kodexu
najprzesadniejszej nieraz

przyzwoitości, choćby posłuszeństwo takie okupione być miało
dręczącą walką, lub

zasadzało się tylko na obłudzie.

Do tego wszystkiego przyczyniło się znacznie także wczesne
owdowienie Adeli. Po

dwuletniem załedwie,

bezdzielnem małżeństwie, umarł mąż pierwszy Adeli W pełnym
kwiecie młodości i

wdzięków, bogata, niezależna, uwielbiana przez liczne grono
admiratorów, Adela

umiała utrzymać niezawisłość swego serca, nie wykroczyła nigdy
przeciw taktowi

prawdziwemu, i nie obciążała reputacji swej żadnym lekkomyślnym
stosunkiem —

rozwinęła w sobie jednak w wyższym jeszcze stopniu śmiałą
swobodę, ponętą

kokieterję i ochotę igrania sobie z wielbicielami.

Z początku usposobienie takiej pięknej wdowy zdawało się być bardzo dobrą wróżką dla wszystkich Don Żuanów i Lovelasów. Wkrótce jednak przekonali się, jak mylną była ta opinia. Po za koło zwykłych awansów, które dają zalotność i wesołość niezawisłej kobiety, żaden z tych, co się kusili o stanowcze względy hrabiny Adeli, posunąć się nie zdołał. Paibikon u tej pięknej kobiety płynął trochę dalej, niż to bywa zazwyczaj u innych, ale za to nikt Rubikonu nie przekroczył.

— Elle est coquette, elle est agaçante, elle est folle, mais elle est diablement vertueuse! — wyraził się o niej jeden z najniebezpieczniejszych, najprzebieglejszych i najwytrwalszych Don Żuanów. Jedni uważali ją za dziwną zagadkę, za piękny potwór, za jakieś discrimen obscurum, drudzy widzieli w niej kokietkę bez serca, albo z sercem, którego nikt dotąd nie umiał przywieść do przemówienia — a bardzo tylko nieliczna część jej bliższych znajomych poznała się na charakterze Adeli. Piękna hrabina była z natury zalotną, jak nią

mniej więcej każda jest kobieta, ale zalotność ta była Śmielszą, swobodniejszą, rzec można zuchwalszą, niżli u innych. Kobiety rygorystyczne, trzymające się najmałoduszniejszych nawet przepisów kodexu pruderji, wszystkie tak zwane collets montes wyrażały się z pewną indygnacją, o Adeli, ganiły wymownie i z całym natchnieniem zazdrości jej postępowanie, wyliczały mnóstwo ofiar jej

kokieterji — ale żadna z nich nie mogła utaić tego przed sobą, że mimo to wszystko pod względem moralnej siły kobieta ta stała wyżej od nich. Ta śmiała zalotność Adeli, która oburzała jej przyjaciółki, a do rozpaczy doprowadzała jej wielbicieli, bo obiecywała wszystko a nie dotrzymywała niczego, zalotność ta była nie słabością, ale właśnie poczuciem siły, nie brakiem zasad, ale ufnością w własną zasadę moralną. Adela nie potrzebowała rozstawiać około siebie licznych czat przesadnej skromności i odpychającej pruderji, nie odgradzała mężczyzn, których towarzystwo lubiła, dystansem anektowanej nieprzystępności, pewną bowiem była siebie i swego serca. Każdy mężczyzna, który zaletami towarzyskimi potrafił wyjednać sobie wstęp do salonów pięknej wdowy, stał z nią zaraz po drugiej lub trzeciej wizycie na stopniu takiej swobody, na jaką u innej pracowaćby był musiał przez kilka miesięcy ustawiczną, wytrwałą galanterią. Był to jednak najwyższy już wymiar względów Adeli. Każdy konkurent i adorator pięknej wdowy pochlebiał sobie że jest już na przedjutrzu, ale to przedjutrze nie kończyło się nigdy i nie miało jutra... Adela wiedziała, że to usposobienie jej znajduje roz-

maite, bardzo złośliwe i niepomysłne komentacje, przyjmowała to jednak z pogardliwą obojętnością i z tym dumnym uśmiechem, który bywa wyrazem ufności w

własną wartość moralną. Gdy jej raz jedna z bliższych krewnych zakomunikowała,
na poły żartobliwie, na poły przestrzegając, niektóre uwagi, obiegające o niej,
Adela rzekła najswobodniej w świecie:
— Niechaj mówią; wiedzą najlepiej sami, że kłamią. Nie jestem małoduszną, ani obłudną... Niechaj się niektóre moje przyjaciółki szczycą swoją sztywnością i pozornym rygoryzmem, bo ta ostrożność potrzebna im, et ces belles résistences mathématiquenient graduées wystarczają im za pociechę w wypadkach i stosunkach, których ja sobie nigdy nie miałam i mieć nie będę do wyrzucenia. Ah! ces Lucreces methodiques! jakże im mało wystarcza, aby być w zgodzie z swym kodexem! Wystarcza im to zupełnie, faire la cruelle quelques teinps i heroicznie przeczekać lada miesiąc lub kwartał, avant de degraffer la peau de tigresse pour... se mettre humaineinent en chemise... Jestem wolną od obu ostateczności.
Przyznam się jednak, że mi się śmiertelnie sprzykrzyła ta kontrola. Pragnę temu położyć tamę radykalnie... O! gdyby się pojawił mężczyzna, którego bym pokochać mogła!... Życzenie młodej wdowy ziściło się. Mężczyzna taki zjawił się, a był nim generał Rokicki. Wyszędłszy tak drugi raz za mąż z szczerego porywu serca, Adela była szczęśliwą, a byłaby była jeszcze szczęśliwszą, gdyby nie niepohamowana zazdrość generała, która za-

miast ustawać w miarę czasu, zdawała się z dniem każdym podsycać coraz bardziej.

Przedewszystkiem podsycala ją, jak już wiemy, Adela sama. Przy całej bowiem wierności dla męża, Adela nie umiała się pozbyć ani zalotności, ani swobody, ani owej igraszki pustej z mężczyznami, którzy podziwiali jej wdzięki i jej dowcip. Była to druga natura Adeli, stojąca w jaskrawej prawie niezgodzie z jej szczerą miłością do męża i z istotnymi zasadami niewieściej cnoty, przeciw którym nigdy dotąd nie zgrzeszyła. Pozbyć się tej drugiej natury, znaczyło tyle dla Adeli, co pozbyć się świata, życia, upodobań najprzyjemniejszych, i otoczyć się murem jakiegoś niewytłomaczonego i śmiesznego w oczach wesołej kobiety małżeńskiego anachoretyzmu. Jenerałowi dawało to oczywiście powód do najczarniejszej zazdrości. Jakkolwiek był człowiekiem wielkiego taktu i wysokiej roztropności pod każdym innym względem — tracił całą równowagę i stawał się słabym. Przychodziło tedy często do wybuchów przykrych, de scen nieraz namiętnych, które ostatecznie przejmowały serce Adeli prawdziwym bólem a sumienie jenerała dotliwemi wyrzutami. Jakoż kończyło się na tem, że Rokicki, przekonawszy się zawsze o płonności swych podejrzeń, okazywał głęboką skruchę, i przeproszał ze łzami ukochaną małżonkę... Paroksyzmy jednak powtarzały się ciągle — a Adela prawie przyzwyczaiła się do nich, i po każdym niesłusznym wybuchu jenerała umiała z przedziwnym taktem obudzić w nim roztropność i szlachetną dobroć serca,

poczem cały swój dowcip wysilała na to, aby ukrócić Rokickiemu
szczyry żal i
rozproszyć wyrzuty, któremi sam siebie obsypywał.
Tak było długo, tak było przez lat kilkanaście...
Na kilka miesięcy przed opisaną w poprzednim rozdziale sceną na
balu, zaszła
jednak w tym stosunku bardzo ważna zmiana...
Po raz pierwszy zazdrość generała była usprawiedliwioną, po raz
pierwszy
zasadzała się ona nie na wrodzonej podejrzliwości, nie na pozorach
jedynie,
spowodowanych owem scharakteryzowanym już powyżej
usposobieniem Adeli — ale na
rzeczywistej podstawie...
Scena na ba'u nie była zwykłą sceną zazdrości, wywołaną bez
podstawy przez
Rokickiego. Hrabina Adela czuła się tym razem winną w obec męża i
w obec
siebie...
Sławna z okrutnych figlów, płatanych najniebezpieczniejszym Don
Żuanom, hrabina,
poskromicielka pretensji i zarozumiałości tylu uprzywilejowanych
zdobywców serc
niewieścich, królowa kładąca z pustem szyderstwem stopy swe na
serca mężkie,
stała się ofiarą młodego człowieka, wstępującego w świat dopiero.
Był nim znany już naszym czytelnikom Oktaw Jarski. Był to daleki
kuzyn hr.
Rokickiego. Jarski liczył się do najarystokratyczniejszych rodzin
kraju, lecz
nieposiadał żadnego prawie majątku. Wychowany za granicą, gdzie
matka jego stale
przebywała, Jarski przybył do kraju, gdzie według życzenia i silnej
nadzieji
swej matki, miał zrobić w krótkim czasie karierę.
"Zrobić karierę" — ileż w tem wyrażeniu nie mie-

ści se najrozmaitszych pretensji, nadziei, planów i widoków, to skromnych, to przesadnych, to możliwych, to wprost niepodobnych! Zdaniem hrabiny Jarskiej syn jej zasługiwał na najświetniejszą, karierę. Była tego najmocniejszego przekonania, że, zaledwie pojawi się w kraju, obsypany zostanie dostojenstwami lub przynajmniej milionową, "zrobi partję. "
— Za rok lub dwa lata — mówiła do siebie pani Jarska, pocieszając się w tęsknocie za ukochanym synem — Oktawek będzie znakomitym człowiekiem, szczęśliwym mężem i panem wielkiej fortuny.
Do tego wszystkiego pomocnym miał być Oktawowi generał Rokicki, o którego wysokim stanowisku, ogromnych wpływach i wielkiem wzięciu między ziomkami, Jarska tyle słyszała i czytała. Oktaw przybywszy do kraju zgłosił się zaraz do Rokickiego, który go przyjął poważnie ale ze szczerą przychylnością. Uczynił dla niego wszystko, co się czyni dla kuzyna, wprowadził go w najznakomitsze towarzystwa stolicy i dom swój pozwolił mu uważać za własny. Oktaw korzystał z tego pozwolenia tem chętniej że w żonie generała znalazł najpiękniejszą i najgrzeczniejszą gospodynię. Przystojny, wesoły, dowcipny, wytwornie wykształcony Oktaw podobał się bardzo hrabinie. Sama młodość Oktawa, jego niedoświadczenie i odzywająca się w nim zbyt często jeszcze naiwność w zapatrywaniu się na świat i ludzi, dodawały mu w oczach Adeli osobnego, ujmującego uroku

— Powierz się mnie, kuzynku — mawiała śmiejąc się hrabina do Oktawa — ukończę twoją edukację...

Oktaw z pewnością nic nie miał przeciw temu. Powierzył się swojej pięknej nauczycielce, i pokazało się wkrótce, że uczeń młody niebezpieczniejszym był, niż się zdawało. Przychylność prosta dla Oktawa, zmieniała się w zajęcie, zajęcie poczęło przybierać cechę uczucia. Po kilku miesiącach znajomości Adela nie mogła utaić już tego przed sobą, że Oktaw jest czemś więcej dla niej, niż przyjemnym mężczyzną dla lubiącej wesołe towarzystwo kobiety, niż kuzynem dla dalekiej kuzynki... Gdy hrabina zdała sobie sprawę z tego stosunku, przejęła ją trwoga prawdziwa. Usiłowała niewierzyć sama sobie, wyszydzić wzrastające uczucie, stłumić je w samym zawiązku. Wszystko to było daremne — Adela czuła, że to co dziś jeszcze da się nazwać rozmaicie, jutro domagać się będzie stanowczo nazwy miłości.. Do tego jutra nie przyszło było jeszcze, a uczucie w obec Oktawa nie było dotąd pełną, rozwiniętą, skończoną miłością. Hrabina broniła się przeciw niej zacięcie, ale czuła, że opór ten słabnie, że chwile zupełnego poddania się uczuciu stają się coraz częstszymi, i że trudno jej coraz bardziej, zatrzymać się przy półuczuciach i półsłówkach... Hrabina trzymała się w obec Oktawa taktyki, która najlepiej świadczyła o jej

wzajemności, choć ją właśnie maskować miała. Nie mogąc pokonać
wzrastającego
uczucia, Adela wysilała się głównie na to, aby ile możności ukrywać
je przed
Oktawem. Tymczasem maskowane tak uczucie wzrastało coraz
bardziej — a Adela

mimo szczerych usiłowań nie przeszkodziła temu, aby Oktaw dojrzał,
że nie jest
obojętnym swej pięknej kuzynce...
Niepodobna było, aby przy takim stanie rzeczy generał nie uczuł
niepokoju.
Wyjątkowo jednak Rokicki, czy to że wyleczył się już był po części z
swej
chronicznej zazdrości, czy też, że walczył z nią i stłumić ją usiłował,
mając
już tyle dowodów niewinności Adeli, otóż wyjątkowo, mówimy, nie
zdradził dotąd
swego podejrzenia ani jednym słówkiem.
Stosunek Oktawa do Adeli zaczynał być już jednak takim, że
niepokoić mógł męża
mniej nawet zazdrosnego z natury. Podejrzenia hrabiego wzrastały, a
im dłużej
umiał je tłumić w sobie, tem gwałtowniejszym groziły wybuchem.
Nad horyzontem
małżeńskiego szczęścia Rokickich zawisła złowroga chmura.
Od kilku tygodni generał był chmurny, ponury i zamyślony — a stan
ten przykry
stawał się tem gorszy, że Rokicki daremnie czekał na pierwsze kroki
ze strony
Adeli, do których był już przyzwyczajonym. Wspominaliśmy już, że
ile razy
generał doświadczył paroksyzmu zazdrości, Adela z całą swobodą
czystego sumienia
umiała wypowiedać go sama, umiała z przedziwnym taktem i
wesołością pełną

słodczy rozbroić jego podejrzenia, sprowadzić je do zera i
zawstydzić generała,
który po każdym takim wyjaśnieniu, jeżeli to być mogło, bardziej
jeszcze kochał
swoją żonę. Tym razem Adela zachowywała takie same milczenie jak
Rokicki,
choć niepodobna było, aby nie odgadywała jego podejrzeń. To

wszystko dręczyło generała, wzmagало jego rozdrażnienie, wikłało
bardziej
sytuację i czyniło ją tem groźniejszą.
Scena na balu była pierwszą błyskawicą zapowiadającą się burzy.
Gdyby nawet nie
złośliwe owe uwagi i alluzje, któremi obsypano Rokickiego "pod
kaktusem" —
generał byłby sprowadził rodzaj wybuchu, już dla tego samego, aby
wywołać
eksplikację i zniewolić poniekąd Adelę, żeby dawnym swym
zwyczajem rozproszyła
chmury, które sama zgromadziła, wyleczyła ranę, którą, sama zadała.
Po raz pierwszy od tak długiego czasu Adela tego nie uczyniła, bo
uczynić nie
mogła. Czuła się winną, i to zmieniało zupełnie jej stanowisko. Była
sama
zatrwożoną i bezradną, czuła się nawet prawdziwie nieszczęśliwą...
Gdy Rokiccy wracali po balu do domu, nie przemówili do siebie ani
słówkiem.
Głuchy turkot karety wtórzył ich zadumom. Hrabia rzucił się w ką
karety, a
milcząc, chmurzył swe piękne, wysokie czoło i szarpał w
rozdrażnieniu wąs biały.
Hrabina czuła dziwny lęk po raz pierwszy w życiu, który jej ścisnął
serce.
Chciała przerwać milczenie, które gnioło jej piersi, jak duszna,
atmosfera
przed burzą, ale nie umiała znaleźć słowa...

Gdyby ciemne wnętrze karety zostało w tej chwili oświetlone,
widzielibyśmy
Adelę, tę piękną, przed chwilą rozkosznym czarem owianą kobietę, tę
jaśniejącą
wdziękami i weselem królowę balu prawdziwie do niepoznania
zmienioną.
Ujrzelibyśmy ją bladą, z wyrazem dziwnego pomieszania na twarzy, z
smutkiem na
tak jasnym przedtem czole, z oczyma spuszczone w dół,
nieśmiejącymi

mimo ciemności spojrzeć w stronę, po której siedział generał...
Adeli zdawało się, że mimo ciemności nocy mąż widzi jej postać, że
wzrok jego
groźny i przenikliwy tkwi w jej pomieszanej twarzy, czyta na niej
wyznanie
winy... Ta myśl była torturą dla hrabiny... •
Nareszcie znaleźli się w domu. Generał odprowadził Adelę do jej
pokojów i został
przy niej przez chwilę. Adela rzuciła się w fotel i milcząca,
nieruchoma
siedziała w nim z spuszczone oczyma. Zdawała się czekać
pierwszego słowa
generała, poddając się spodziewanej burzy, jak skruszona
winowajczyni
wyrokowi...
Rokicki tymczasem czekał także, czekał przemówienia Adeli, może
wesołego
skarżenia i tej żartobliwej swady, która go przedtem tyle razy
rozbrajała i
zmuszała do wyznania winy i do czułych przeprosin. Tym razem
zawiódł się w swej
nadziei. Adela nie podniosła oczu, przez pobladłe jej usta nie
przeleciał
uśmiech; siedziała w martwej zadumie, czy pomieszaniu.

Jenerał kilka razy ruszał się niecierpliwie, kilka razy chciał sam przemówić

pierwszy, ale kończyło się zawsze na zamiarze tylko. Nareszcie powstał żywo z

krzesła, i rzekł szorstkim tonem:

— Wyjeżdżamy na wieś, do Zbrojnej...

— Mówiłeś mi już o tem... — odparła cicho Adela.

— Wyjeżdżamy jutro, pojutrze, za trzy dni najdalej! Czy niemasz nic przeciw

temu?

— Nie... — odpowiedziała Adela nie podnosząc oczu. Jenerał zatrzymał się, jakby w najwyższem zdziwieniu.

niu. Spojrzał badawczo na żonę i rzekł drżącym od rozjątrzenia tonem:

— Dobranoc!

Wychodził krokiem powolnym z sypialni, oglądał się kilka razy, zatrzymał się

nawet dłużej przy drzwiach, jakby spodziewał się jeszcze, że Adela przemówi coś

więcej. Daremnie...

Adela milczała, a nawet spojrzeniem nie odprowadziła go do drzwi...

Jenerał

wybiegł w najwyższem wzburzeniu.

Już kilka godzin minęło od powrotu, a w pokoju Rokickiego słyhać było ciągle

kroki. W rozdrażnieniu swem jenerał prawie nie zmrużył oka, a ledwie dzień

zaświtał, począł wydawać dyspozycje do wyjazdu, mimo przykrej, zimowej pory.

III.

WYPRAWA PO KARJERĘ.

Matka Oktawa mieszkała stale za granicą. Była ona wdową, a Oktaw był jej jedynym dzieckiem. Majętna bardzo z domu, poślubiona z człowiekiem, który - oprócz znakomitego nazwiska posiadał także olbrzymią fortunę, hrabina Jarska po owdowieniu swoim znalazła się w położeniu niemal krytycznym. Mąż jej należał do tych zawsze licznych u nas jeszcze panów, którzy zdają się wysilać swoją imaginację, przesadzać się w excentrycyce pomysłów i kaprysów na to tylko, aby w najkrótszym czasie roztrwonić najogronniejsze choćby mienie. Niepoprzestając na samem utrzymywaniu blasku przepychu arystokratycznego, ale hołdując szalonej prawie rozrzutności, Jarski nie przypuszczał zapewne, aby dwie tak wielkie fortuny, jak jego i jego żony, słynne w całym kraju, nie były nieprzebranem, nigdy nie schnącym źródłem. Los oszczędził mu gorzkiego rozczarowania. Umarł wcześniej, nim ostateczna ruina majątku stała się faktem, przeciw któremu cały nawet optymizm lekkomyślności okazać się musiał daremnym. Wdowie przypadło znieść całą gorycz nowej sytuacji.

Ledwie Jarski zakończył życie, runęła w gruzy cała ta olbrzymia fortuna, jak gmach stary, pod którym popękały fundamenta. Z milionowej pani Jarska stała się właścicielką bardzo skromnej fortunki. Wystawione na publiczną licytację i

przedane dobra, zbogaciły całe tuziny spekulantów i tabulistów —
podczas gdy
wdowie została z nich bardzo mierna stosunkowo suma. Przyznać
należy, że Jarska,
która po raz pierwszy w życiu zniewoloną została zająć się sprawami
majątkowe
ni, i to w chwili, kiedy sprawy te przedstawiały widok prawdziwie
chaotycznego
nieładu i prawdziwie opłakanego upadku — umiała znieść taką nagłą
zmianę losu z
niespodziewanym stoicyzmem.

Uratowawszy małą część posagowego swego majątku hrabina
Jarska wyjechała z
kraju, uwożąc z sobą Oktawa, który był wówczas dziesięcioletnim
chłopcem. Do
wyjazdu za granicę spowodowała ją duma, która była jednym z
najwybitniejszych
rysów charakteru tej nieszczęśliwej a z wielu względów niepospolitej
kobiety.

Niechciała żyć w niepomysłnych stosunkach majątkowych pośród
ludzi, którzy
widzieli wczorajszą za ledwie świetność jej bytu. Tem więcej miała
wstręt do
żądania pomocy od dalszych krewnych, że czując się pokrzywdzoną
przez nich
dawniej jeszcze w sprawach majątkowych, toczyła z nimi zacięty
proces.

Mieć za sobą tak świeże jeszcze tradycje olbrzymiej fortuny, nie
zapomnieć
jeszcze o nawyknięciach do świetności i przepychu, być damą,
przepełnioną
poczuciem najarystokratyczniejszej dumy, nie rozrządzać jak tylko
szczupłym
funduszem, mieć syna, potrzebującego odpo-

wiedniej rodowi swemu edukacji i toczyć proces do tego — a mimo to
wszystko
obejść się bez obcej pomocy, wystarczyć wszystkim potrzebom
jedynie za pomocą
najskrętniejszej oszczędności, to było zaiste cudem, na jaki się;
zdobyć mogła
tylko kobieta z taką siłą, charakteru, z taką szlachetną wytrwałością i z
takim
poświęceniem dla raz wytkniętych celów życia.
Trzy takie cele miała Jarska. Pierwszym było wychowania i karjera
Oktawa, drugim
troskliwe prowadzenie procesu, w którym istotnie słuszość
najniewątpliwiej
znajdowała się po jej stronie, trzecim utrzymanie pozornego splendoru
lub takiej
przynajmniej przyzwoitej stopy domu, do jakiej obowiązywały ją
arystokratyczne
uprzedzenia i nad miarę wygórowana duma.
Mimo wad tedy swoich Jarska zasługiwała, na nazwę kobiety
niepospolitej. 'Jeżeli
potrzeba maskowania niedostatku i wynikająca ztąd kolizja z
funduszami uczyniła
ją drobiazgową, jeżeli duma nadawała jej charakterowi pewną zimną i
odpychającą
surowość, a namiętne trwanie przy procesie czyniło go zaciętym — to
za to miłość
do syna, miłość najszlachetniejsza, najgłębsza, gotowa do wszelkich
ofiar i
poświęceń, opromieniała moralna; postać Jarskiej aureolą
najpiękniejszych cnót
macierzyństwa i kazała zapominać o wszystkich wadach i przywarach.
Przeszło dziesięć lat mijało, jak Jarska mieszkała z synem za granicą.
W
położeniu jej nie zaszła żadna pomyślna zmiana. Nieszczęsny proces
trwał ciągle,
syn podrastał w młodzieńca, a uratowane resztki mienia szczuplały z
dnem
każdym. Dopóki bowiem Oktaw

był chłopięciem, wystarczała jako tako renta z ocalonych kapitałów,
gdy jednak
wiek młodzieńczy jedynaka wymagał przeniesienia się do wielkiej
stolicy i
uzupełnienia edukacji, w całym jej arystokratycznym pojęciu, potrzeba
było
nadwreżyć sam kapitał i znacznie go uszczuplić.
Jarska, która była wzorem oszczędności a nawet abnegacji, o ile na
tem cierpieć
mogła jej tylko osoba, i o ile to nie narażało na szwank pozorów,
stawała się aż
do lekkomyślności hojną, gdy chodziło o Oktawa, a mianowicie o
jego potrzeby
edukacyjne. Gdy zważymy, że w planie edukacyjnym Jarskiej główne
a może i
najgłówniejsze zabierało miejsce wprowadzenie Oktawa w świat
wielki, postawienie
go na równi z najznamienitszą i najbogatszą młodzieżą pod względem
form, manier
i wytwornych warunków powierzchowności, pojmiemy łatwo, że
wychowanie Oktawa w
tym samym stopniu było kosztowne, w jakim było mylne i
niepraktyczne.
Ale hrabina Jarska nie byłaby przeniosła nigdy, aby syn jej jedyny,
potomek
dostojnej i znakomitej rodziny, nie otrzymał zupełnie takiego
wychowania, jakie
otrzymują dziedzice fortun milionowych. Dodać nadto należy, że
hrabina wierzyła
ślepo w szybki i pomyślny rezultat prowadzonego procesu, który jeśli
nie całą
dawną świetność, to przynajmniej pańską dostatność bytu miał
zwrócić lada
chwilę.

— Proces trwa nieskończenie długo — rozumowała hrabina — ale
zwłoka ta jest
teraz już tylko rękojmią szybkiego zakończenia. Kim Oktaw dorośnie,
proces
rozstrzygnie się pomyślnie, i zaraz u wstępu do życia

Oktaw ujrzy się panem znacznego majątku. Zresztą, z imieniem
swojem, z swoją,
urodą i zaletami, Oktaw zrobić może świetną partję. W nim odrodzi
się dawna
świetność Jarskich — wychowanie jego zatem odpowiedniem być
musi jego
przyszłości...
Powodując się takim rozumowaniem biedna matka gotowała sobie
nie tylko bolesne
rozczarowanie, ale nadto całe nowe pasmo najcięższych prób i
najprzykrzejszych,
bo materialnych kłopotów. Oktaw kończył lat dwadzieścia, kapitał
zmniejszył się
o połowę i zaledwie wystarczał na bardzo skromne utrzymanie życia,
a proces,
wlokąc się ciągle bez nadziei blizkiego rezultatu, coraz większych
wymagał
kosztów i nakładów.
Oktaw urósł w. prześlicznego młodziana. Urodę jego fizyczną
uwydatniały wytworne
maniery, ogłada salonowa najlepszego smaku, formy szlachetne i
arystokratyczne.
Jarska widziała w tem ideał edukacji, niepojmowała bowiem, czegoby
więcej miał
się uczyć potomek tak znakomitego rodu. Z dumą też patrzyła na
swego jedynaka,
strojnego w wdzięk młodości i urody noszącego z szlachetną dumą
imię swego ojca,
lubionego we wszystkich salonach, podziwianego przez
najpiękniejsze kobiety,

wzbudzającego zazdrość u rówieśników, którzy górowali nad nim tak dalece majątkiem. Do dumy tej jednak przybywała wkrótce boleść i trwoga. Na widok dorosłego syna opuszczał Jarską nawet ów optymizm, który dotąd kazał jej wierzyć w bardzo bliską, omyślną zmianę losu. Oktaw posiadał wszystko, co posiadać powinien pan wielkiej fortuny, brakło tylko

jednej małej rzeczy, to jest: właśnie owej wielkiej fortuny. Proces, który przed kilku laty ożywił się był nieco, wpadł znowu w letarg zupełny, co jednak nie wykluczało ogromnych stosunkowo kosztów. Oktaw za granicą ani kariery ani bogatego ożenienia spodziewać się nie mógł. Hrabina obliczyła wszystko i wśród ciężkiej boleści i łez zdecydowała się rozłączyć z Oktawem. Sama miała zostać za granicą, Oktaw wyjechać miał do kraju. Oktaw nie miał ochoty wracać do kraju, który choć był jego ojczyzną, stał mu się obcym zupełnie, a zresztą nie chciał rozstawać się z matką, którą kochał istotnie najgłębszą miłością. Opierał się tedy planowi matki, ale Jarska nic odstępiała od swej decyzji.

— Ależ mam, po co mam 'jechać ? A jeśli mam już koniecznie tam jechać, dla czego sam, dla czego nie chcesz jechać i ty ze mną? — pytał Oktaw.

— Tak być musi, drogie dziecię — odpowiadała Jarska — wymaga tego twoja przyszłość i moje własne szczęście, które od twego szczęścia zawisło. Powinieneś

wrócić do kraju, w którym imię twoje ma za sobą piękną przeszłość,
dla którego
ty masz obowiązki, a który i dla ciebie nie będzie obojętnym. Twoje
urodzenie i
twoje zdolności nieomieszkają zapewnić ci karierę, a generał Rokicki,
posiadający tyle wpływów w kraju, nie odmówi ci w tem pomocy.
Wymaga tego dalej
i nasz proces, który potrzebuje koniecznie poparcia na miejscu. W
końcu wymagają
tego i życzenia matki twojej, Oktawie, która doczekać by się chciała
rychło,

aby obok niej znalazła się jeszcze jedna kobieta, któraby nosiła imię
Jarskich...

Wymawiając te ostatnie słowa, Jarska z uśmiechem pełnym miłości i
słodczy

ucałowała czoło jedynaka.

— Czemuż ty ze mną, nie jedziesz, mamó?

Hrabina milczała chwilę a usta zadrgały jej boleśnie. W dużych,
zawsze pięknych

jeszcze oczach Jarskiej zalśniły łzy; ale stłumiła ona wkrótce uczucie
głębokiego rozżalenia i przymuszając się do spokoju, odparła:

— Rozdzierasz mi serce tem pytaniem, mój drogi synu... Czyż może
być

boleśniejsze rozstanie nad moje z tobą?... Ale tak być musi. Gdybym
wróciła z

tobą do kraju i osiadła w mieście, w którym mnie wszyscy znają,
musielibyśmy

prowadzić dom, Oktawie, dom odpowiedni naszemu stanowisku.

Tymczasem wiesz już o

tem, że stosunki nasze majątkowe są niepomyślne... tymczasowo...

Mam atoli

wszelką nadzieję, a nawet pewność — dodała szybko hrabina — że w
bardzo krótkim

czasie sytuacja nasza zmieni się...

— Jeżeli tak, mamu droga — rzekł Oktaw — pociż ja tam jadę?... —
Bądź spokojnym,
Oktawie — odparła szybko z pewną szlachetną dumą hrabina, — tyle
mamy, byś,
jeżeli nie świetnie, to przynajmniej na przyzwoitej mógł żyć stopie...
Oktaw ucałował rękę matki z czułą, wdzięcznością, chociaż
niedomyślał się, że
Jarska sprzedała wszystkie we pamiątkowe klejnoty i kosztowności,
że postanowiła
graniczyć się sama do najpotrzebniejszych tylko warunków bytu, aby
zebrać sumę,
któraby mogła wystar-

czyć Oktawowi do utrzymania się na wytworniejszej stopie przez
jeden rok cały.
Oktaw nie wiedział, że zaraz po odjeździe jego zamyślała Jarska
sprowadzić się
do upatrzonego już z góry maleńkiego mieszkania, złożonego z dwóch
ciasnych
pokoików, że skazała się na niedostatek prawie, i że ten wysiłek był
ostatnią,
rozpaczliwą zaliczką na przyszłość, która zawieść mogła, tak jak
dotąd
ustawicznie zawodziła...
Gdy przyszła ostateczna chwila pożegnania, opłakiwana już długo
naprzód łzami
hrabiny, okupiona całą, boleścią jej szlachetnego, macierzyńskiego
serca, Oktaw
zdawał się być bardziej rozrzewnionym od matki. Jarska bowiem
dobyła wszelkich
sił, wezwała do pomocy całe męztwo swej duszy, aby zachowaniem
się swoim
przejąć otuchą odjeżdżającego syna.
— Jedź tedy, drogie dziecko moje — zawołała w ostatniej już chwili
hrabina — i

niechaj cię Bóg błogosławi!... Pamiętaj, że się nazywasz Jarski, i że
zostawiasz
tu serce, które każdym swym tętnem wiąże się z twojem szczęściem i
twojami
losami! Te dwie myśli niechaj tobą kierują we wszystkim, cokolwiek
poczniesz
podczas naszego rozłączenia!...
Oktaw wyjechał z ciężkim sercem, ale nim jeszcze stanął w
granicach rodzimej
ziemi, odzyskał już napowrót całą swobodę i wesołość młodzieńczą.
Począł marzyć
o przyszłych sukcesach, o olśnieniu salonów swem zjawiskiem, o
zdobyczach serc
niewieścich, o jakichś precudnych czarnych oczach, które go
wyglądają umyślnie
i z tęsknotą, o świetnej karierze, o wielkiej fortunie

wygranego procesu i o tylu innych przeróżnych rzeczach...
Do tego wszystkiego nie potrzeba mu było nawet roku, iak to
przewidywała matka,
dość było kilku miesięcy, zdaniem jego.... W przeciągu tych kilku
miesięcy wygra
proces, unieszczęśliwi dwanaście dam pięknych, uszczęśliwi
trzynastą, która
będzie cudownie piękną i po azjatycku bogatą, sprowadzi matkę i
mnóstwo jeszcze
innych dokaże rzeczy...
— Zobaczymy, o ile się spełniły marzenia Oktawa.
Gdy młody Jarski stanął w kraju, zgłosił się natychmiast do
Rokickiego, któremu
go jako krewnemu polecała gorąco matka. Tu zaraz na wstępie doznał
dwóch wrażeń
odmiennych, owszem, wręcz sobie przeciwnych. Jedno z nich było
niemiłe,
zniechęcające, wyglądało na szyderstwo z owych marzeń i pięknych
planów, które

się, roily po głowie Oktawa — drugie było przyjemne i zachęcające i
zdawało mu
się być dobrą wrózką przyszłych powodzeń.
Pierwsze wrażenie było dziełem jenerała Rokickiego, drugie jego
żony, pięknej
hrabiny Adeli...
Rokicki przyjął wprawdzie Oktawa życzliwie i z uprzejmością, która
mimo że ujęta
była w pewne formy żołnierskiej szorstkości, była szczerą i
prawdziwą, ale słowa
jego padły jak zimna woda na rozmarzoną głowę młodego optymisty.
— Czytałem Ust twojej matki, mój Oktawie — rzekł mu zaraz na
wstępie jenerał — i
jakkolwiek pisany jest nie zupełnie otwarcie a może nie zupełnie
jasno, domyślam
się z niego dwóch rzeczy: po pierwsze, że

oprócz szczupłych funduszków, które ledwie wystarczą na utrzymanie
matki, nie
posiadacie żadnego majątku, powtóre, że przybywasz tu, aby
rozpocząć jaką
karjerę i dobić się stopnia, któryby ci byt i przyszłość zapewniał...
Słowa te, wypowiedziane z żołnierską prostotą i szczerym naciskiem,
niemile
bardzo uderzyły Oktawa. O czym dobrze wiedział jenerał, to za ledwie
przeczuwał
Oktaw. Matka nigdy nie mówiła mu tak stanowczemi słowy o
stosunkach majątkowych.
Zmieształ się tedy młody nasz bohater i po chwili przykrego milczenia
odpowiedział:
— Stosunki nasze istotnie niepomyślne są chwilowo, jednakże nie
sądzę, aby nie
dawały nam rękojmi bytu tak długo, dopóki..
Tu zaciął się Oktaw i przerwał...
— Dopóki własnymi siłami i własną pracą nie wyrobisz sobie sam
świetnej pozycji

w świecie? nieprawdaż? — dokończył generał z lekkim uśmiechem ironicznym.

— Lub dopóki nie rozstrzygnie się proces, który wróci nam to, co, jak generał

wie zapewne, należy nam się tytułem wszelkiej sprawiedliwości... — dodał Oktaw.

— Więc się źle domyśliłem — rzekł generał, mierząc bystro oczyma Oktawa — widzę

bowiem, że masz więcej ufności w proces, niż w własne siły'...

Oktaw, który czuł się odgadniętym przez generała, nic nie odpowiedział na te słowa.

— Mój chłopcze — rzekł wtedy generał nie spuszczać swych pięknych, wyrazistych oczu z twarzy Oktawa,

— wysłuchaj dobrze, co ci powiem, a bierz moje słowa

tak życzliwie, jak ja je sam rozumiem. Dowiedz się najpierw, że szczerze pragnę

się zająć twoim losem, Aby jednak stanowczo opiekować się tobą, potrzebuję mieć

pewność, że chcesz śmiało i poważnie zaglądnąć w oczy światu i życiu, aby zaś

osiągnąć taką pewność, muszę wiedzieć, czy bierzesz ów wielki proces w rachubę

twoją, czyli też zapomnieć o nim chcesz zupełnie ?...

— Czyż jedno z drugim nie da się połączyć z sobą? — zapytał nieśmiało Oktaw.

— Żadną miarą, mój chłopcze! — odparł żywo i stanowczo generał.

— A przecież mama...

— Mamie wolno wierzyć w pomyślny obrót rzeczy przerwał Rokicki

— jest kobietą, a

kobiecie wolno

mieć iluzje. Potrzebne jej one do życia. Matka twoja łądzi się, bo cię kocha,

ty zaś wprost przeciwnie działać musisz: niewolno ci się łudzić, jeśli ją kochasz!

— Mówiono nam...

— Pardon, mon jeune ami... — przerwały znowu Rokicki — pozwól sobie zrobić jedną uwagę. Nie mów nigdy: mówiono nam, ale mówiono mi. Ta liczba mnoga nie przystoi ci teraz, kiedy sam za siebie masz działać i myśleć. Zdradza

to, że się oglądasz jeszcze na matkę, na jej opiekę, na jej pomoc. O tem

przedewszystkiem zapomnieć musisz! Azatem, mówiono ci...

— Mówiono mi — ciągnął dalej w pomieszaniu Oktaw, który po raz pierwszy znajdował się w podobnej pozycji — że proces ten jest słusznym zupełnie, że mamy wszelkie możliwe szanse, i że w najkrótszym czasie musi być wygranym...

Jenerał zaśmiał się cierpko.

— Oui, il a des juges a Berlin! Mój drogi, wszystko to być może, ale wierz mi,

że jeśli nie chcesz aby ten proces stał się klątwą twego życia, kulą ołowianą u

nóg, złym duchem kusicielem, przestań o nim myśleć zupełnie...

Byłem u waszego

adwokata i rozpatrzyłem się w całej tej sprawie. Nikt nie jest w stanie obliczyć, kiedy się skończy i jak się skończy. Porzucać jej nie należy, bo macie

sprawiedliwość po waszej stronie, ale liczyć nań nigdy ci nie wolno!

Czy dasz mi

na to słowo?

Oktaw machinalnie wyciągnął rękę, ale na twarzy jego przebijał się wyraz

rozczarowania i przykrego zniechęcenia.

— Teraz możemy już mówić wyraźnie z sobą — rzekł generał. —
Pomyślmy tedy o
twojej przyszłości. Jaki zawód sobie obrać zamýślasz?
Oktaw odpowiedział na wpół zakłopotanem na pół zdziwionem
spojrzeniem na takie
obcesowe zapytanie. Generał mówił do niego językiem, którego Oktaw
nie rozumiał.
Praktyka życia, cały realizm jego faktycznych potrzeb i stosunków,
były dla
niego żelaznym wilkiem. Nigdy nie zastanawiał się nad tem.
— Źle postawiłem pytanie — ozwał się znowu generał, nie czekając
na odpowiedź. —
Powiedz mi raczej, czego się uczyłeś?
To drugie pytanie było jeszcze fatalniejszym dla Oktawa. Zarumienił
się tylko i
spuściwszy oczy, milczał. Generał chcąc mu przyjść w pomoc, począł
go

egzaminować. Stawił mu mnóstwo pytań i wybadywał, czego się
uczył i jakie
ukończył szkoły.
Egzamin ten wypadł jak najgorzej. Pokazało się, że Oktaw uczył się
wszystkiego,
a nie umie nic, że miał mnóstwo profesorów, a nie ukończył formalnie
ani jednej
klasy, że uniwersytetem był mu salon a dyplomem dobra opinja matki
o ukochanym
jedynaku.
Generał zachmurzył czoło i przeszedł się po pokoju w zamyśleniu.
Potem stanął
przed Oktawem i rzekł poważnie:
— Cest facheux, mon cher garçon! Cóż teraz zrobimy? Gdzie cię
poforytuje? Z tem,
czego się uczyłeś, potrafisz być tylko wielkim panem, a ponieważ nim
nie jesteś,

mógłbyś być chyba nauczycielem języków, metrem fortepianu
tancmistrem lub
petitmaitr'em do dressowania bogatych dorobkiewiczów.....
Widząc udręczoną minę biednego Oktawa, generał osłodził cierpkie te
słowa
wesołym śmiechem, a nadając im tym sposobem cechę żartu, zawołał:
— Tylko czoło w górę! Nie jesteś temu może winien. Gdyby matka
twoja była cię
przysłała do mnie pięć lat wcześniej, nie byłibyśmy teraz w kłopotcie.
No, bądźmy
dobrej myśli, wszystko to da się może naprawić. Nie umiesz
wprawdzie wiele, ale
za to jesteś dzielnym chłopakiem, masz krew w żyłach szlachecką,
ogień ci się
pali z oczu, jeździsz pewnie doskonale na koniu i broń pokochasz
prędko — stary
żołnierz opiekować się, będzie tubą?... Nieprawdaż?
Oktaw uśmiechnął a przynajmniej próbował uśmie-

chnąć się weselej, jakby rozumiał myśl generała i całym sercem ją,
podzielał.
— Jednakże, mój chłopcze — mówił generał dalej, zbliżając się do
Oktawa i biorąc
go za guzik od tużurka — jeśli chcesz, abyś dobił się stanowiska,
którego ci
bardzo, bardzo potrzeba, przestań przedewszystkiem patrzeć się na
świat z poza
aktów tego nieszczęsnego procesu, lub z poza szkiełek twego pince-
nez
salonowego. Jak mnie tu widzisz, byłem w życiu w gorszej jeszcze od
ciebie
pozycji. Za granicą przez jakiś czas żyłem ogołocony z wszystkich
środków. Nim z
kraju nadeszły mi zasiłki, żyłem długi czas z żołdu podoficera...
Rozumiesz
dobrze, co to znaczy?...

— Domyślam się... — odparł Oktaw z uśmiechem.
— Żyłem tak długi czas pod niebem afrykańskim — ciągnął generał dalej —
dosłużyłem się szlif oficerskich, a już przedtem nosiłem był przecież szlify
sztabowe w kraju i duży miałem majątek! Rozpocząłem tedy po raz wtóry moją
karjerę. To ciężiej, to daleko ciężiej, mój chłopcze, niśli ją rozpoczynać po raz
pierwszy! A przecież przez ten cały czas nie zrobiłem ani szeląga długu, a gdy
mi nadeszły wkońcu znaczne pieniądze z kraju, tak się już byłem przyzwyczaił do
tego życia, że nie wiedziałem na razie, co z nimi począć. Czy czujesz w sobie
siły do tego, mój chłopcze ?.....
Stawiając to zapytanie, generał położył dłoń swą na ramieniu Oktawa i utkwiał w
nim swój wzrok bystry, przenikliwy, marsowy.....
Oktaw dobywał sił wszelkich, aby nieodegrać przed

generałem roli smutnej figury.... Czuł, jak się cały ugina pod tą, hartowną,
dłonią żołnierza, ciężką jak życie, twardą jak konieczność losu; uczul, że nie
ma sił odpowiedzieć na to wejrzenie, energiczne i silne, spojrzeniem również
śmiałem i stanowczem...
Na szczęście, generał nie długo trzymał Oktawa w tej sytuacji.
— Dość jednak tego, jak na raz pierwszy — rzekł nagle —
pomówimy później o
wszystkiem obszerniej... A teraz, mój drogi Oktawie, uważaj mój dom tak, jakbyś
był u siebie..... Pójdź, przedstawię cię jego gospodyni.....
Rzekłszy to, generał wziął pod ramię Oktawa i wprowadził go do salonu. W

gospodyni domu znalazł Oktaw kontrast swego przyszłego opiekuna.
Spodziewał się
zastać kobietę już nie młodą, a zatem nie piękną, matronę poważną,
która go
przyjmie z czułością i z moralnymi pretensjami matki i doda łagodny
komentarzyk
do nauk jenerała — a spostrzegł kobietę prześliczną, strojną w cały
blask urody
niewieściej — kobietę, która go powitała swobodą młodej kuzynki,
figlarnem
spojrzeniem pięknych oczu, wesołym i obiecującym uśmiechem ust
koralowych.....
Powitany z uprzejmą wesołością, z pustotą pełną kokietrii, ośmielony
od razu,
Oktaw po pierwszym zaraz widzeniu się z Adela rzekł sobie z
uśmiechem znaczącym:
— Lepszą częśćkę sobie obiorę... Wolę protekcję pani jenerałowej
niśli pana
jenerała...

I przyszły mu na pamięć słowa jednego z starych, doświadczonych
salonowców,
którego poznał za granicą:
— Mój młody przyjacielu — mówił mu ów weteran wielkiego świata
— jeżeli chcesz
zrobić karierę na świecie, nie trzymaj się mężczyzn, ale kobiet,
Wierzaj mi, nie
masz potężniejszej i szerszej protekcji nad protekcję pięknej i
znakomitej
damy, zwłaszcza jeżeli cię ona pokocha. Dokąd nie trafi wpływ
najwyższych
dostojników, tam sięga przyjazne słówko kobiety. Mężczyzna, choćby
był bratem
twoim, przyjacielem, krewnym najbliższym, nie uczyni dla ciebie
tego, co

życzliwa ci kobieta. Mężczyźni protegują obojętnie, oficjalnie i niezręcznie, kobiety z poświęceniem, z entuzjazmem i z zdumiewającym sprytem... Najgorliwszy, najżyczliwszy nawet mężczyzna protegując cię, pamiętać będzie o tem, abyś w karierze swojej nie przewyższył jego własnego stanowiska, kobieta pragnie i stara się o to, abyś przewyższył wszystkich. Mężczyźni w każdej protekcji hamują swą gorliwość egoizmem; a egoizmem kobiety kochającej ty sam będziesz. Mówią, że talenta i zasługi nie znaczą nic bez protekcji; ja dodam, że protekcja nic nie znaczy bez kobiety. Grand cordon, mój chłopcze, mniej znaczy od podwiązki, lepiej stać w opiece pięknych oczów, niż brylantowych gwiazd dostojników... Niech żyje protekcja kobiet! Powtarzając sobie te słowa w pamięci, Oktaw uznał, że nadarza mu się teraz najlepsza sposobność wykonania rad swego starego Mentora, i powtórzył z wesołym uśmiechem:
— Niech żyje protekcja kobiet!

Odtąd Oktaw był codziennym, stałym gościem hrabiny Adeli. Jenerałowi oświadczył z poważną miną, że nim stanowczą jaką decyzję poweźmie, zamierza rozpatrzeć się w miejscu, w którym teraz zupełnie jest obcym. Właśnie w porę tę jenerał Rokicki kilka razy wyjeżdżał musiał w pilnych interesach majątkowych, co ułatwiło Oktawowi wielce zbliżenie się do Adeli. Jakie rozmiary przybrał ten stosunek w

przeciągu kilku miesięcy, o tem dowiedzieli się nasi czytelnicy zaraz z pierwszego rozdziału tej powieści.

IV.

KARJERA OKTAWA.

Przyjemnie bardzo rozpoczęło się życie dla Oktawa w nieznanej mu dotąd stolicy.

Potomek rodziny znakomitej, sławnej z starożytnego imienia a tak niedawno

jeszcze z świetnej fortuny, miody, dorodny, pełen owych powierzchownych zalet

wychowania i wykształcenia, jakich wymagać zwykł tak zwany świat wyższy,

otoczony owym powabem, jaki w płaskich wyobrażeniach niektórych naszych kół

towarzyskich nadaje edukacja zagraniczna, Oktaw zabłysnął od razu jak meteor na

horyzoncie miasta.

Samo już imię i wychowanie torowało mu drogę do najznacniejszych domów, cóż

dopiero, gdy do tych posiadanych już warunków przybyła opieka Rokickich,

trzymających wpływem swym i stanowiskiem berło pięknego świata?... Jarski wpadł

od razu w odmęt wystawnego życia. Rozrywano go sobie, pieszczono, podziwiano, a

w krótkim bardzo przeciągu czasu młody Jarski wyforytował się na pierwszorzędnego lwa salonowego. Patrzą na te tryumfy z

upodobaniem życzliwej

pro-

ektorki hrabina Adela, patrzył zrazu obojętnie sam Rokicki, choć
niebawem w
duszy niepokoić się począł o losy młodego krewniaka.
Oktaw zajęty życiem, złożonem z ciągłych zabaw
najprzyjemniejszych roztargnień,
zapomniał zupełnie i stosunkach swój matki, o celach swej podróży,
zgoła o całej
przyszłości. Dobrze mu było w wonnej atmosferze salonów, w gronie
nadobnych
kobiet, z których najpiękniejsza była mu czemś więcej, niż mentorką i
opiekunką,
w kole wesołej i hulaszczej młodzieży, która go lubiła, zgoła w całym
tym
upajającym młocie natury świecie szалу.
Les beaux jours d'Aranjuez nie długo jednak trwały. Z pod kwiatów
młodzieńczych
illuzji poczęły się, wydobywać ciernie pospolitych przykrości życia.
Proza
materiałnych stosunków, o których Oktaw nigdy nie myślał, z której
nigdy
rozsądnie nie zdawał sobie sprawy, ozwała się nagle, i to natarczywie
a groźnie.
Matka Oktawa, wyprawiając go do kraju, uczyniła najwyższe
wysilenie, byle mu
umożliwić wystąpienie, jeżeli nie wystawne, to przynajmniej
przyzwoite,
odpowiednie jego nazwisku. W tym celu opatrzyła go w sumę
niespełna ,
franków. Trzeba było znać dokładnie stosunki materialne tej
szlachetnej choć
nieroztropnej kobiety, aby ocenić taki wysiłek. Oddanie tak znacznej
sumy
Oktawowi pociągnęło za sobą nietylko ponowne, tym razem
rozpaczliwe prawie
nadszarpnięcie kapitału, ale zmuszało nadto Jarską do
najmudniejszej
oszczędności na przyszłość. Aby pokryć taki uszczerbek, Jarska
zdobyła się na

decyzję prawie heroiczną. Postanowiła

żyć sama za granicą z rocznego dochodu kilkuset franków,
schroniwszy się do
małej miejsciny francuskiej. Znaczyło to wyrzec się wszelkich
przyzwyczajzeń
dawniejszego lepszego bytu, wszelkich wygod nawet niezbędnych
znaczyło
ograniczyć się do życia pełnego dotkliwej abnegacji.
Tymczasem Oktaw rozpoczął życie kawalerskie na bardzo wystawną
stopę. Mając
wstęp do najświetniejszych domów, obracając się w kołach
najbogatszej młodzieży,
młody nasz bohater uekwipować się musiał odpowiednio do
zajmowanego stanowiska.
Wrodzona lekkomyślność i próżność nie pozwalały mu obliczać się z
stosunkami i
zasłaniały przed nim nieprzyjemne a nawet groźne jutro. Oktaw
zaprażył jeśli
nie przewyższyć, to przynajmniej dorównać swym bogatym
rówiennikom.
Piękny kawalerski apartament, kosztowne meble, kilku służących w
gustownej
liberji, wierzchowiec, elegancki tilbury, łoża w teatrze - — wszystko
to zdało
mu się być niezbędnem do zrobienia kariery. Wszystko to Oktaw mieć
postanowił.
Gdy jednak obliczył, ile te cacka arystokratyczne kosztować będą,
przekonał się,
że cały zapas jego nie wystarczy na pokrycie wydatków. Przekonanie
to trapiło
bardzo Oktawa, lecz wkrótce przestał się kłopotać. Jeden z świeżych
jego
przyjaciół, a najgłośniejszych viveur'ów stolicy, podszepnął mu to
powabne a
tyle niebezpieczne słówko: kredyt.

— Gdybym się nazywał Jarski — szepnął mu zły demon w postaci przyjaciela —
gdybym miał milionowe sperandy z procesu, który musi być
wygranym, gdybym był w
bliskim pokrewieństwie z takim Krezusem jak

nerał Rokicki i stał pod wyraźną jego opieką, gdybym końcu miał
kilka tysięcy
gotówki w kieszeni — rozrządzałbym olbrzymim kredytem!
Oktaw poszedł niestety za radą koleżki a zostawiając gotówkę na
bieżące potrzeby
wystawnego życia, pojął się ekwipować na kredyt. Udało się to
wyśmienicie.
Wkrótce Jarski zajmował prześlicznie urządzonej partament
kawalerski, posiadał
ładnego wierzchowca, elegancki faetonik, najwytworniejszą
garderobę, stałą lożę
w teatrze, zgoła wszystko, co daje pozory świetnego bytu.
Tym sposobem wyforytował się Oktaw na prawdziwego bohatera
arystokratycznego
tonu i modnej elegancji. Uchodził za wzór młodego człowieka z
wielkiego świata.
Z pozornym tym zbytkiem było mu ślicznie do twarzy; kobiety
kokietowały go na
zabój a młodzież cała zazdrościła mu serdecznie. Krótko jednak
trwały chwile
tryumfu. Kredyt nie opiera się na samom pożyczaniu, i samo debet
fatalnym jest
źródłem wydatków. Uczuł to niebawem bardzo dotkliwie Oktaw.
Do wydatków, jakie pociągało za sobą konieczne utrzymanie owych
pięknych
dekoracyjek arystokratycznego życia, przybyły i wydatki
nadmierzające. Żyjąc w
gronie bardzo bogatej a hulaszczęj młodzieży, trzeba było konieczne
naśladować

ją we wszystkim, trzeba było dopuszczać się niekiedy szalonych
wybryków, jak to
mówią faire des folies, trzeba było zasiąść dość często do zielonego
stolika i z
dobrą miną przegrać znaczną sumę, która pokryć miała potrzeby
całego miesiąca.
Taka droga pochyłą jest i śliską; szybko się po niej

pędzi a zatrzymać się tak trudno!... Po półrocznym pobycie w kraju
Oktaw znalazł
się w rozpaczliwym położeniu. Było to już w jakiś czas po owej
scenie na balu i
po wyjeździe Rokickich na wieś. Jenerał przettem kilka razy próbował
wybadać
Oktawa, co z sobą uczynić myśli, ale trafiając zawsze. na odpowiedzi
ni?. chętne
i wymijające, zajmować się nim przestał. Napisał tylko do Jarskiej, że
Oktaw
zdaje się mieć plany, do których urzeczywistnienia pomocy jego nie
potrzebuje.
Jarska domyśliła się złej wróżby w tym liście, i zatrwożyła się bardzo
o dalsze
losy Oktawa. Na zapytania jej i obawy umiał jednak Oktaw
odpowiedzieć tak
uspakajająco, z taką pewnością blizkiej kariery, że łatwowierna matka
przestroge
jenerała przypisała jego pedantyzmowi, a zaufała zupełnie sercu i
rozumowi
ukochanego jedynaka.
Tymczasem Oktaw znalazł się w sytuacji, z której nie widział wyjścia.
Jeszcze
nie miał był czasu pomyśleć nawet o sobie, jeszcze nie zdobył się był
na to, aby
odwiedzić adwokata, w którego ręce oddanym był ów wielki proces
jego matki — a

już nietylko że nic posiadał ani szeląga z przywiezionej sumy, ale nadto obciążony był długami, które drugie tyle wynosiły. Do matki udawać się o pomoc nieśmiało, do generała Rokickiego wstydził się, kredyt przyjaciół został już wyczerpanym, a w kleszczach lichwy znajdował się już i tak od niejakiego czasu. Do utrudnienia sytuacji przyczyniło się i to jeszcze, że matka przesłała na ręce jego znaczną sumę przeznaczoną dla adwokata. Pieniądze te odebrał Oktaw w chwili, kiedy w najprzykrzej-

ym znajdował się kłopotcie. Lekkomyślność i desperacka chęć przedłużenia pozorów świetnego bytu, podyktowały Oktawowi czyn, który ciężkim wyrzutem przytłoczył jego sumienie. Nie oddał pieniędzy, komu uleżało, choć od tego zawisł był cały los procesu, je mej nadziei matki i jego samego. Pewnego dnia, kiedy Oktaw zajęty był niespokojnym trwożnym rozmyślaniami o swojej sytuacji, zjawił się niego mężczyzna poważny, podeszłego już wieku, z wyrazem ujmującej poczciwości na twarzy, otoczonej dobrze wemi już włosami. — Jestem adwokatem pani hrabiny Jarskiej — odezwał się do Oktawa. — Od długiego czasu wiem już, że hrabia przebywasz we Lwowie, i niecierpliwie go co dnia oczekuję... Mniemałem, że pan raczysz odwiedzić człowieka starego, któremu ojciec pański niegdyś ufał, któremu matka pana powierzyła prowadzenie swych interesów. Pani hrabina zapowiadała mi dawno pańskie rzybycie...

— A! przeprosić muszę pana najmocniej — rzekł z pomięszaniem Oktaw — wybierałem się ciągle, ale, ierz mi pan, ani czasu ani swobodnej myśli do tego ie miałem... Zresztą ten proces, na którym tyle nadziei pokładamy, nie może być w lepszym ręku, a osobisty mój udział nie jest w nim zapewne potrzebnym... Stary adwokat uśmiechnął się na tę exkuzę i na zawarty w niej komplement i odparł:
— Nie byłbym się nigdy sam przypominał panu hrabiemu, gdyby nie bardzo ważna, i bardzo pilna okoliczność... Najpierw muszę panu oświadczyć, że proces

bierze obrot stanowczo dla nas przychylny. Nie mówie panu tego w tym celu — dodał patrząc poważnie w oczy Oktawowi — aby upoważniać pana do śmiałych przypuszczeń i przedwczesnego tryumfu... Przeciwnie, najmocniej i jak przyjaciel przed tem ostrzegam! Wiem z prawniczego doświadczenia, że nawet bardziej ugruntowane nadzieje zawodziły...
— O cóż tedy chodzi? — zapytał niespokojnie Oktaw.
— Pisałem do pani hrabiny kilka tygodni temu, że potrzeba nam do zwyciężkiego ukończenia procesu jednej jeszcze, ostatniej już, ale znacznej sumy. Matka pańska odpisała mi, że jakkolwiek znajduje się obecnie w najprzykrzejszem położeniu materialnem, ogołaca się jednakże z wszelkich funduszków i sumę żadaną, mi nadsyła na ręce pańskie...
Oktaw zadrżał a twarz jego poczerwieniała gwałtownie od pomięszania.

— Czekałem dwa tygodnie na pana a raczej na pieniądze, a niemogąc się doczekać pańskiej wizyty, przychodzę, aby pana hrabiego uwiadomić, że kwota ta najdalej w przeciągu dni trzech złożoną być musi jako depozyt, inaczej... — Inaczej... — przerwał Oktaw w przerażeniu, które mu pierś kurczowo ścisnęło. — Inaczej — kończył adwokat spozierając badawczo na pomieszanego Oktawa — całą sprawę uważać należy jakoby za przegraną. Proces, który za kilka miesięcy mógłby być pomyślnie ukończony, pójdzie w odwłokę,

tórej końca i ostatecznych rezultatów przewidzieć nie można... — Za trzy dni, powiadasz pan, koniecznie, nieodwołalnie? — zapytał z pośpiechem Oktaw. Adwokat odpowiedział stanowczym skinieniem głowy. — Suma ta — począł Oktaw mówić z zająkaniem nie znajduje się jeszcze w mych rękach... to jest najduje się, czyli inaczej jakby się już znajdowała... Nie wiedziałem, że tak spieszenie musi być panu wręzoną... Za trzy dni jednakże będziesz ją pan miał... — Czy z pewnością? — zapytał adwokat, na którego twarz wystąpił wyraz prawdziwie ojcowskiej życzliwości. — Panie Oktawie, powiedz mi pan otwarcie... Oktaw nie dał dokończyć prawnikowi. Słowa adwokata zdawały się zdradzać, że domyśla się on prawdy... na myśl poruszyła wszystką krew w Oktawie... Wstyd, który się wyciskał płomiennym rumieńcem na policzkach, chciał Oktaw maskować urazę; spojrział tedy dumnie na adwokata i przerwał:

— Proszę być spokojnym; pojutrze będę u pana... Adwokat obojętnie przyjął szorstką odpowiedź Ok i skłoniwszy się, wyszedł. Oktaw znalazłszy się sam w pokoju rzucił się w fotel i na chwilę pograżył się w przykrą zadumę. Czuł, że haniebnie zawiódł zaufanie swej biednej matki i że może stać się przyczyną, iż wszystkie jej nadzieje, które były osłoda jej teraźniejszego bytu, rozbiją się zupełnie... Myśl, że stary prawnik przejrzał go i domyślał się całej prawdy, paliła go wstydem...

— Za dwa dni muszę mieć pieniądze! — zawołał sam do siebie z rozpaczliwą energią, i począł szybko przechadzać się po pokoju. Jak tego dokazać, nad tem nawet nie miał czasu zastanowić się Oktaw. Całe piekło sprzysięgło się dziś na niego. Był to dla Oktawa jeden z owych dni fatalnych, okrutnych, które tak częste są w życiu każdego dłużnika, a w których jakby na dane hasło gromadzą się od razu wszystkie kłopoty, wywiązują się nagle wszystkie omijane jakiś czas kolizje, w których dają sobie rendez-vous wszyscy wierzyciele, zbiegają się jakby na złośliwe jakieś hasło wszystkie pozwy, protesta i rachunki... Co chwila przybiegał lokaj z jakimś papierem, każdy taki papier był przypomnieniem jakiegoś nowego, bardzo przykrego i bardzo nagłego kłopotu. Upominano się zewsząd, upominano się grzecznie lub po grubjańsku, prywatnie lub sądownie. Pomieszkanko nie było zapłacone, na niezapłacone meble zapowiadano sekwestr, a nawet lokaj, który przynosił te miłe listy na eleganckiej tacy,

zakończył tem, że prosił, jaśnie pana" pokornie o zapłatę służbową za
ubiegłe
miesiące...

Oktaw znalazł się w prawdziwie politowania godnem położeniu...

Kazał zamknąć

drzwi, nie wpuszczać nikogo i nie przyjmować pism, mających
jakikolwiek kształt

urzędowy. Próbował myśleć nad uciszeniem tej burzy, która ze
wszystkich stron

się zrywała, ale w takich chwilach niepodobna zdobyć się na

zimniejsza nieco

rozwagę.

Głowa Oktawa pałała, szumiało w niej chaotycznie, a myśl zbawcza
nie nasuwała

się żadna...

Po długim szamotaniu się z najczarniejszemi myślami, Oktaw
przypomniał sobie

zapewne jakiś środek ostateczny, albowiem porwał się szybko z fotelu i
zadzwoił.

Gdy pojawił się służący, Oktaw usiadł przy biurku i napisał słów kilka
na

bilecie, który opieczętował i w adres opatrzył.

— Idź natychmiast z tym listem — zawołał na lokaja. — Do Saugera!

Saugera łatwo

odszukasz, adres. masz napisany. Wszak umiesz czytać. Jeśli go
zastaniesz w

domu, powiedz mu, że natychmiast go potrzebuję...

Służący oddalił się z biletem, a Oktaw jakby śmiertelnie zmęczony,
rzucił się na

sofę. Nie minęła godzina nawet, a lokaj powrócił z wiadomością:

— Pan Sauger czeka.

— Prosić natychmiast! — zawołał Oktaw i zaraz pojawił się w pokoju
ów gość tak

pożądany.

Nim przejdziemy do przedmiotu samej wizyty, musimy obznajomić naszych czytelników bliżej z figurą gościa. Był to człowiek około lat czterdziestu, z twarzą chudą i bladą, która całym wyrazem swym zaraz od pierwszej chwili wstręt budziła nieprzewyciężony. Twarz ta, z nosem wystającym, garbatym i ku ustom zwieszonym, okoloną była jasnemi bakenbardami, a świeciły z niej oczy małe, przenikliwe, dziwnie niespokojne. Było coś w całej tej postaci, co od niej każdego odpychać musiało, bił od niej wyraz przykry, którego niezdolały ułagodzić ani uśmiech grzeczny, który się po cienkich,

sinawych ustach przewijał, ani układność miny, ani pewna odrębna elegancja mowy i giestykulacji. Przeciwnie, w elegancji tej niezręcznej leżało coś nieprzyjemnego i śmiesznego zarazem. Sauger ubrany był z jaskrawą a nędzną pretensjonalnością; strój jego przypominał wszystkie tandety, łączył w sobie wszystkie kolory. Czerwonawo-żółty paltot okrywał jego pochylone nieco barki, wąziutkie zielone pantalony raziły jasnofioletowemi dużemi kratami, pod białym fałszywym kołnierzem umieszczony był olbrzymi fontaż żółtej krawaty, a pod krawatą widać było koszulę zbrudzoną, spiętą jednakże drogą brylantową szpilką. Kto był Sauger? Na to pytanie odpowiedziałby ci był każdy niemal mieszkaniec miasta, figura ta bowiem w najszerszych kołach była znaną i po swojemu sławną.

Któż zresztą z nas samych nieznał takiego Saugera, nie widział takiego Saugera, nie słyszał o takim Saugerze? Był to lichwiarz znany w całym mieście, żyd posiadający ogromną fortunę, ale niemniej przeto prowadzący dalej swoje rzemiosło. Mistrz swego zawodu, Sauger łączył w sobie wszystkie potrzebne ku temu przymioty; i chciwość namiętą, i zręczność niesłychaną, i demoniczną ruchliwość i potworną nelitościwość, na którąby okrucieństwo za słabą było nazwą. W człowieku tym straszliwym zdawał się siedzieć i Shylok Szekspira i Gobseck Balzaca, a cała galerja skapców i lichwiarzy Dickensa składała się na jego charakter. Kto raz miał to nieszczęście popuść w ręce Saugera, nie wydostał się już najczęściej nigdy z tych piekielnych sieci, a w sieciach tych szamotało się mnóstwo

imion i mnóstwo fortun znakomitych, a kto wydobył się z nich szczęśliwie a przynajmniej obronną ręką, należał do rzadkich wyjątków. Zazwyczaj trzy tylko sposoby służyły do wydostania się z tych szpon okropnych. Jednym z nich był strzał samobójczy, drugim kij żebraczy, trzecim hańba... Gdyby odznaczano tak samo geniusz przewrotności jak geniusz cnoty, Sauger musiałby mieć swój pomnik. Był to genialny w swoim rodzaju człowiek. Znawca bezprzykładny natury ludzkiej, bystry obserwator, obznajomiony z

najdrobniejszymi stosunkami każdego człowieka, który go pod jakimkolwiek bądź względem obchodził, przebiegły i zuchwały, Sauger znał jak żaden inny lichwiarz całą maszynę swego zawodu i umiał nią poruszać z zdumiewającą zręcznością. Człowiek ten miał mnóstwo zbrodni na swem sumieniu a szydził z sprawiedliwości i sądów. Jak Mefistofel kupował dusze i handlował niemi z równym sprytem, jak owemi brudnymi banknotami, od których się odymał jego duży pugilares. Liczył zarówno na wszystkie zaięty, jak na wszystkie wady swej ofiary, szukał rękojmi w honorze, jeśli nie widział jej w wekslu, szukał jej w podsuniętej zręcznie zbrodni, jeśli nie widział w honorze. Nikt tylu zacnych ludzi nie rzucił w przepaść hańby, co Sauger. Sauger zaczął od pospolitej drobnej lichwy, ale porzucił ją wkrótce. Nie pożyczał już komubądź, choćby na dostateczną ewikcję. Nie lubił zwykłych interesów, pogardzał prostymi spekulacjami. Wyszukiwał najbardziej komplikowane sprawy, lubił oplątywać intrygami

znakomitsze ofiary, starał się o to, aby mieć owe causes célèbres. Zawód Saugera nazywano też żartobliwie ale dość trafnie "metafizyką lichwy." Sauger miał już przytępione podniebienie dla zwykłych interesów wekslarskich, kończących się mizerją dłużnika, kozą zwyczajną, albo, co najnudniejszą było dlań rzeczą, punktualną wypłatą. Kto mu od razu, na pierwszy termin wypłacił

dług zaciągnięty, z tym nie lubił już robić interesów — poczytywał to
bowiem
sobie za rodzaj despektu, jeżeli ktoś, co wpadł mu już raz pod rękę,
wywinał się
z niej szybko i bez dużego szwanku. Lubiał szalenie pewnego rodzaju
interesa,
które za pikanterję swego zawodu poczytywał. Słabość miał do
eleganckich i
wytwornych debitoarek, które po za plecy ma mężów zaciągały szalone
długi — a
ilekroć udało mu się znaleźć taką ofiarę, lubował się tem, że ma w
ręku lont,
którym wysadzić może w powietrze honor kobiety, spokój męża,
cześć familji i
szczęście domowe. Usłużnym bywał bardzo dla młodych paniczów, o
których wiedział
że posiadają miłość dam wysokich a zameżnych, chętnie pożyczął
lekkomyślnym
chłopaczkom, latoroślom rodzin zamożnych lub znakomitych — zgoła
tam najchętniej
się rzucał, gdzie poręczycielem wekslu była groźba strasznej jakiej
katastrofy,
gdzie mógł ująć w rękę dla pewności klucz do nieszczęsnej jakiej
intrygi, do
smutnej tragedji domowej... To było amatorstwo Saugera, Miał
namiętność do
takich sprawek, które były jakby jakimś demonicznym sportem dla
tego
straszliwego lichwiarza...
Gdy Sauger stanął przed Oktawem, młody ten lekkomyślny człowiek
zadrzał zlekka.
Oktaw znajdował

się już w sieci lichwiarza, którego w duszy bał się i do którego głęboki
wstręt

uczował. Pokrywając jednakże niemiłe uczucie dobrym humorem, Jarski uśmiechnął się wesoło i przywitał swego gościa uprzejmem skinieniem głowy. — Jak się masz panie Sauger, czekałem cię nie-cierpliwie! Sauger uklonił się bardzo grzecznie i z dziwnie śmieszną elegancją a zbliżając się do Oktawa wyciągnął doń swą wyschlą rękę, na której rysowały się żyły grubemi sinemi pręgami. Widząc tę dłoń obrzydliwą, jak szpony ostrą, plugawą i brudną, wyciągnioną naprzód i żądającą uścisku, Jarski wstrząsł się nieznacznie i rumieniąc się od oburzenia, udał, że jej nie widzi i wskazując na fotel, zaprosił Saugera niemym ruchem do wypoczynku. Sauger jednym przenikliwym spojrzeniem swych maleńkich oczek na wskroś przeglądnął Oktawa i dorozumiał się tego dumnego wstrętu. Chwilkę trzymał jeszcze dłoń wyciągniętą, a potem z uśmiechem szyderczym i jadowitym ścisnął ją i włożył do kieszeni. Następnie spojrzął do koła, wziął bez pozwolenia cygaro z kasy zapaliwszy je usiadł wygodnie na fotelu, kładąc zabłocone buty na dywan kosztowny. — Dziękuję ci bardzo, panie Sauger, żeś przyszedł zaraz... Mam do pana bardzo pilny interes... — Niech pan hrabia nie dziękuje — odparł Sauger głosem ostrym i nieprzyjemnym — bo nie ma za co. Przyszedłem sam z własnej woli, bo mam do pana interes także bardzo pilny. Gdybym go był nie miał, nie

byłbym przyszedł mimo biletu pana hrabiego, bo nie mam dziś czasu...

Sauger mówił dość płynnie po polsku, ale zacinał żargonem żydowskim, a w głosie jego było coś sykliwego i ostrego. Mówił cicho, prawie szeptał, a przecież każde słowo było wybitne i prawie przenikające, a szept ten dziwnie raził uszy.

— A to wybornie się składa — odparł Oktaw nie zrażając się szorstką, odpowiedzią

Saugera. — Mamy do siebie nawzajem interesa. Chodzi tylko o to, kto z nas ma

pierwej wystąpić ze swoim?

— Jabym myślał, panie hrabio, że ja — rzekł z lekkim szyderczym naciskiem Sauger

— a to dla tego właśnie, że nie mam czasu i daremnie tracić go nie chcę.

To słowo "daremnie" wymówił z silniejszym akcentem.

— Słucham tedy... — rzekł Oktaw udając spokój i rezygnację.

— Pan hrabia zapewne zapomniał — odezwał się Sauger swym syczącym tonem, który

świdrem wwiercał się w uszy Oktawa — pan hrabia zapomniał, że dzisiaj

niepotrzeba było przysyłać do mnie, bo ja sam przyjdę z pewnością.

Mam dług mały

u pana hrabiego, eine kleine Summe... etwa Gulden... Dzisiaj właśnie przypada termin, der Wechsel ist fallig, proszę zatem...

Tu Sauger przerwał i zamiast dokończenia rozpiął swe pomarańczowe palto, sięgnął

do grubego, zatłuszczonego pugilaresu i wydobył podłużny, fatalny skrawek

papieru, który zatrzymał na wierzchu ująwszy go dwoma palcami za rozek.

— A to wybornie! — próbował zawołać z uśmiechem Oktaw, choć prolog ten przejął

go prawdziwą trwogą — a więc nasze życzenia spotykają się z sobą!
— Jaktó ? — przerwał szybko Sauger rzucając badawczy wzrok na Oktawa. — A!

rozumiem, pan hrabia wołał mnie sam, aby zapłacić...

— Ależ nie — odparł Oktaw — zgadzamy się dziwnie z sobą, ale z całkiem innego powodu. Widzisz mnie Sauger, ty chcesz pieniędzy i ja chcę pieniędzy...

— Ein guter Witz, Herr Graf — zaśmiał się sauger — a podobieństwo jeszcze jest

jedno, pan nienasz pieniędzy i ja ich także nie mam...

— Podobieństwo fałszywe... W to drugie nie wierzę... — A mnie pierwsze nic nie

obchodzi... — odparł sauger stanowczo. — Potrzebuję dziś koniecznie pieniędzy; czekać nie mogę.

— Ależ mój panie Sauger, czy żartujesz! Przywołałem cię właśnie, aby cię

koniecznie uprosić o tysiąc eńskich i o prolongatę dawniejszego wexlu. Nie

możesz mnie tego odmówić w żaden sposób! Miałżebyś mnie opuścić w

najkrytyczniejszej chwili, w ostatnim kłopotcie, bo ręczę ci, że to mój kłopot

ostatni! Za trzy miesiące wypłacę ci wszystko, panie Sauger, tego możesz być

pewien zupełnie; najuroczyściej ci to zaręczam... — Ein Cavalier-Wort znaczy u

mnie wiele, bardzo wiele — rzekł Sauger z ironją, której nawet maskować nie

usiłował — ale w banku ono nic nie znaczy, a ja mam wypłatę w banku. A zresztą

choćbym

miał pieniądze, nie dałbym ich, mówię otwarcie, panie hrabio...

— Dla czego?

— Dla czego pan nie płaci? W tem pytaniu jest odpowiedź, Herr Graf!

— Ale zapłacę, z pewnością i w bardzo krótkim czasie zapłacę! —
zawołał Oktaw

rozpaczliwie.

— Przepraszam bardzo pana hrabiego — odparł Sauger — pan hrabia
jest bardzo

młody i wierzy jeszcze samemu sobie...

— A pan mi nie wierzysz! — zawołał Oktaw gniewnie tracąc już
resztę

cierpliwości.

— Nie! — odparł sucho Sauger — bo znam pana lepiej, niż pan sam
zna siebie...

— Nie poznaję cię dzisiaj, panie Sauger...

— Więc będę mówił otwarcie, panie hrabio. Ja znam pańskie
stosunki, tak jak pan

hrabia, lepiej niż sam pan hrabia. Pan nic nie masz. Pan przyjechałeś
do Lwowa z

kilku tysiącami franków, które poszły sobie, ustępując miejsca kilku
tysiącom

długów. Zkąd pan zapłaci?

— Jeżeli nie zapłacę sam, zapłaci moja matka...

— Pardon, Herr Graf — zawołał Sauger z jadowitym uśmiechem. —
Pani hrabina nie

zapłaci...

— Toczmy proces — rzekł szybko Oktaw, żałując, że imię matki
wprowadził w

rozmowę i przerywając dla tego Saugerowi — toczmy proces, który
lada dzień i to

najpewniej rozstrzygnie się na naszą korzyść... Chodzi tu nie o
tysiące, ale o

krocie!... Pożycz mi pan

żadaną sumę i prolonguj dawniejszą... Nie będę trudnym w przyjęciu
warunków...

— Herr Graf sind immer nobel! — wtrącił złośliwie Sauger.

— Masz pan ewikcję w procesie. Pytaj się pan

adwokata, a dowiesz się, jak ta sprawa stoi... ale zmiłuj się, nie odmawiaj mi tej małej przysługi.

— Nie mogę — odparł sucho Sauger. — I na dawny dług czekać nie mogę. Es ist mir höchst unangenehm, Herr Graf, ale zmuszony jestem dziś jeszcze porobić kroki sądowe...

Rzekłszy to Sauger wstał, puścił gruby kłęb dymu z cygara i wziął za kapelusz.

Oktaw był w rozpacz. Zastąpił drogę Saugerowi i wołał:

— Nie, nie pójdziesz pan, panie Sauger! Musisz zrobić ze mną ten interes, będzie to ostatni, i będzie dobry dla ciebie! Zapłacę procentu, ile chcesz, dam sto za

sto! Słuchaj, panie Sauger, sto za sto za trzy miesiące !

Sauger popatrzył badawczo na Oktawa. Bystremu oku jego nie uszła rozpacz, która

się wybijała na twarzy młodego człowieka. Było to stadjum, na które widocznie

czekał Sauger. Lubił on najlepiej traktować wtedy, gdy ofiara jego wydała mu się

już zrozpaczoną. Rozpacz bywa złym doradcą, a przed głosem jaj ucicha honor i

sumienie. Saugerowi pożądaną była taka sytuacja.

Usiadł i przybierając łagodniejszy wyraz twarzy rzekł do Oktawa:

— Panie hrabio, mówmy otwarcie. Jabym panu chętnie i poczekał i pożyczył, ich

hab' ja doch mit einem vornehmen Cavalier zu thun... Ale ja nie mam pewności, ja

nie mam żadnej pewności. Ja nie mówię tego, aby pańskie imię było złą

rękojmią... Ale to nie wystarcza. Dajmy na to, pan nie będziesz mógł zapłacić!

Dajmy na to, że pan umrzesz, albo raczej, że pan zginiesz w pojedynku. Młodość,

kobiety, karty, szampan — gdzie są te cztery rzeczy — und wie kann ein Cavalier

żyć bez tego? — tam bywa piątą bardzo często para pistoletów... Nie bierz mi pan

tego za złe, panie hrabio. Ja krwawo na moje pieniądze pracowałem i muszę być

ostrożnym...

— Więc jakąż ci dam pewność, panie Sauger?

— Pan mi ją dać możesz łatwo...

— Mów więc, czego żądasz?

— Bardzo małej i bardzo łatwej rzeczy: drugiego podpisu.

Oktaw przeszedł się w zamyśleniu po pokoju. Odbywał rewję swoich znajomych i

przyjaciół a potem wyliczył kilka nazwisk.

Sauger chwalił każde nazwisko z osobna, ale wysłuchawszy wszystkie, rzekł sucho:

— Das geniegt mir nicht... Nie zrobimy interesu. Przykro mi to bardzo, ale pan

hrabia daruje...

— Dałbym ci podpis mojej matki, ale to przewlekłoby sprawę, a mnie dziś potrzeba

pieniędzy. Musiałbym czekać przynajmniej tydzień.

Sauger uśmiechnął się z politowaniem, przybrał

minę zimną i obojętną, i powtórnie chwycił za swój pogięty kapelusz.

— Chwilkę jeszcze, panie Sauger! — zawołał wstrzymując go znowu Oktaw. —

Proponuj pan sam! Może znajdziemy środek...

— Środek jest, ale czy nie będziesz się pan gniewał jeśli go otwarcie wypowiem?

Pan hrabia młody jeszcze bardzo, i ma zapewne uprzedzenia swego wieku.

— Mów pan śmiało — rzekł Oktaw zmęczonym głosem i usiadł.

— Herr Graf — zaczął mówić Sauger cichym ale dobitnym i sykliwym głosem. — Za

dawnych czasów, jak to panu hrabiemu dobrze wiadomo, rycerze w każdej potrzebie wzywali imienia swej damy. Sauger ist ein gemeiner Jude, ale Sauger zna rycerskie tradycje. Ein jeder edle Ritter nosił barwę swej damy, na wojnie i w pokoju, a gdy się na nią zaklął, dotrzymać musiał słowa, choćby świat się walił cały... Nieprawdaż, panie hrabio? Oktaw słuchał z zdziwieniem słów lichwiarza. Gdy Sauger przerwał, Oktaw rzekł z uśmiechem:

— Do Czegoż te słowa dążą, ? Nie rozumiem cię, panie Sauger! Czyż chciałbyś, aby ręczyła za mnie kobieta?

— Otóż właśnie pan hrabia dobrze mnie rozumie! — odparł Sauger z szczególniejszym naciskiem.

— A to wybornie! — zawołał Oktaw. — Czyś oszalał, panie Sauger! Sauger zrobił minę obrażoną i powstał z krzesła, aby opuścić pokój.

— Ależ zastanów się sam, czego! żądasz! Któraż z dam mogłaby ręczyć za mnie!

— Jest ich wiele! Pan hrabia ma szczęście do tego... Sauger wić i o tem. Na przykład...

— Na przykład... — poderwał Oktaw niecierpliwie, gdyż Sauger zawahał się z wymienieniem nazwiska.

— Pani hrabina Rokicka! — dokończył Sauger cichym szeptem, który przechodził w świst jakiś stłumiony a przecież przeraźliwy. Oktaw zarumienił się, ale pokrył oburzenie głośnym, śmiechem.

— Śmiesznym jesteś, panie Sauger, albo żarty ci w głowie. Spodziewałem się, że twój środek będzie rozsądniejszym. Czy myślisz, że proponowałbym hrabinie coś

podobnego?

— Pan hrabia nie potrzebuje proponować... — odparł z silnym akcentem Sauger.

— Czy myślisz, że śmiałym żądać, aby ta dama podpisywała moje weksle ? —

zawołał z widocznym już oburzeniem Oktaw.

— Ona nie potrzebuje ich podpisywać... — rzekł Sauger tym samym tonem, co
pierwej.

— Gdyby hrabina nawet wiedziała... — zaczął dalej Oktaw głosem gniewnym.

— Ona nie potrzebuje wiedzieć! — przerwał znowu Sauger.

Oktaw chwilę milczał, jakby kombinował słowa zagadkowe Saugera.

Nagle

poczerwieniał od gniewu i chwytając Saugera za ramie, zawołał:

— Wiem już, co myślisz, żydzie!

— Nareszcie... — rzekł obojętnie Sauger.

Oktaw chwilę nie posiadał się z gniewu. Sauger siedział obojętnie jak statua.

Patrzył spokojnie na Oktawa, uśmiechał się i palił cygaro.

— Pan hrabia powiedział — ozwał się lichwiarz, gdy się Oktaw nieco uspokoił — że

nim przyjdzie termin przyszły zapłaty, proces już będzie skończony...

— Z pewnością będzie skończony — potwierdził Oktaw.

— I że hrabia będzie miał nie tysiące ale krocie.

— I będę je miał!...

— Pan hrabia powiedział dalej, że za trzy miesiące najpewniej mi zapłaci...

— Zapłacę najpункtualniej! — zawołał Oktaw.

— Nun, Herr Graf! Azatera? — szepnął Sauger i spojrzał swym przebiegłym wzrokiem

w oczy Oktawowi, jakby chciał zwrócić jego uwagę na wniosek

wypływający z tego

całego syllogizmu.

— Azatem? — powtórzył od siebie pytanie Oktaw, który poczynął domyślać się konkluzji Saugera.

— Azatem — odparł Sanger — czy pan hrabia potrzebuje proponować? czy pani hrabina potrzebuje sama podpisywać? czy potrzebuje o tem wiedzieć? czy jest co w tem złego? Nie! Nein und wieder nein! A pan hrabia czy potrzebuje się gniewać? a ja czy potrzebuję tu czas tracić?

Oktaw począł się żywo przechadzać po pokoju w zamyśleniu.

Argumenta Saugera

oburzały jego uczucie, ale trafiały do jego lekkomyślności.

— Istotnie cóż w tem złego? — począł argumen-

tować w myśli Oktaw. — Wszakże zapłacę na czas, i nikt ztąd szkody nie poniesie,

ani nikt o tem wiedzieć nie będzie! A zresztą, to tylko zabawniej będzie. Sam

powiem o tem Adeli i śmiać się z nią razem będziemy z tej całej farsy... Ach,

widzę ją, jak się śmiać będzie z tej śmiesznej awantury! Głupi żyd! Eh bien, cóż

to w końcu szkodzi...

W lekkomyślności swojej, której tym razem przychodził w pomoc kłopot prawdziwie

rozpaczliwy, Oktaw wkrótce przyszedł do przekonania, że to rzecz raczej śmieszna

niż niebezpieczna. Wszakże miał zamiary niewinne, wszakże w stosunku tak dobrym

był do hrabiny Adeli, wszakże za trzy miesiące pewien był wygranego procesu!

Wszystkie te uwagi przysły w pomoc lekkomyślności, choć niezdołały stłumić

zupełnie tajemniczych jakichś a przykrych głosów serca...

Podczas gdy Oktaw tak rozmyślał, Sauger bacznie śledził wyraz jego fizjonomji.

Brzydką swą twarz, która w tej chwili jeszcze wstrętniejszy przybrała wyraz,

przekrzywił nieco na bok i z uśmiechem pełnym jakiegoś demonicznego zadowolenia

patrzył na młodego człowieka. Sauger zacierał ręce, jakby z radości, że Oktaw

pląta się w rozstawione sieci, że za chwilę ugrzęźnie w nich cały, honorem,

imieniem, sumieniem, że zdany mu będzie na łaskę lub niełaskę, jako nowa,

bezbronna już ofiara...

Gdy Oktaw wahając się jeszcze nieco zwrócił się do Saugera, lichwiarz ten już

trzymał w ręku blankiet wexlowy i rzekł najprzyjemniejszym tonem, na jaki zdobyć

się tylko mogła krtkań jego:

— Oto blankiet, panie hrabio. Za godzinę będę tu z pieniędzmi.

Dawny dług wynosi

, , nowy wyniesie , , Zinsen, Geldbeschaffungskosten, ein Cadeau für mich i inne drobne wydatki trzeba doliczyć. Proszę wypisać sumę , złr.

płatną za trzy miesiące...

— Ależ panie Sauger! Sześć tysięcy!!

— Pan hrabia sam procent oznaczył — odparł Sauger a na twarz jego wystąpił wyraz

jak stal twardy i zimny. — A zresztą, ja chętnie zrzekam się całego interesu.

Proszę się namyślić... Za godzinę! Adieu, Herr Graf!

I Sauger wysunął się z pokoju.

Po jego odejściu Oktaw długo bił się z myślami Na stoliku leżał podłużny, siny

papier zostawiony przez Saugera. Ile razy Oktaw spojrzął na ten złowrogi skrawek

papieru, przechodził go dreszcz mimo całej lekkomyślności...
Kilka razy chwycił za pióro i kilka razy odrzucał je ze wstrętem...
Siny skrawek
papieru zdawał się zmieniać w jadowitą, obrzydliwą zmię, której
Oktaw dotknąć
się nie czuł odwagi... Wśród tego wahania się minęła godzina cała. Na
schodach
dał się słyszeć cichy, jakby przyczajony krok Saugera. Ten chód
dziwny,
charakterystyczny, znanym był dobrze Oktawowi. Choć ostrożny,
stłumiony, niejako
skradający się, krok ten wprawiał już przecież nieraz w dziwne
rozdrażnienie
Oktawa...
Chód ten zwykł się był odzywać w jakiś dziwnie nieopisany sposób,
jak zbliżające
się nieszczęście. Mimo,

że był tak cichy, słyszeć go było z daleka... Oktaw nieraz mając u
siebie huczne
koło przyjaciół, słyszał i rozpoznawał natychmiast krok Saugera na
schodach.
Nieregularnym swym rytmem wybijał się on w uszach dłużnika z
pośród strzelania
szampanowych korków, z pośród wesołego gwaru towarzyszy, jak
krok upiora z
jakiej legendy zamkowej...
Na odgłos kroku tego Oktaw szybko zbliżył się do stoliki). Wietrzyk
wywołany tem
szybkim poruszeniem poruszył wexel leżący na stole, który zwinął
się i zadrgał
jak gad żyjący. Nim u drzwi dało się słyszeć ciche, urywane pukanie
Saugera,
Oktaw już napisał wexel. Na, spodzie obok nazwiska Jarskiego
znalazł się tym

samym niezmiennym duktem ale drżącą ręką położony podpis hr.
Adeli

Rokickiej...

Sauger właśnie wszedł do pokoju. Spojrzał na wypełniony blankiet
wexlowy i po
wąziutkich, zsiniałych jego ustach przebiegł uśmiech szkaradny.. W
tejże chwili

jednak przybrał minę obojętną i ozwał się z cicha:

— Also, Herr Graf?...

Oktaw milcząc podał mu papier. Sauger spojrział nań uważnie, a
potem schował

szybko do dużego pularesu, a pulares wsunął do kieszeni jak otchłań
głębokiej. W

drugiej ręce trzymał już pęk brudnych banknotów, które podał

Oktawowi. Oktaw

przeliczył pieniądze i zrobił uwagę, że kilkudziesięciu złr. braknie.

— Nie mam więcej... — odparł obojętnie i sucho Sauger.

— A teraz — dodał po chwili — proszę pana pa-

miętać dobrze o terminie. Czekać bym nie mógł ani chwili jednej i
spodziewam

się, że nie będzie nawet tego potrzeby.

Rzekłszy to tonem poważnym i przenikającym Sauger wyciągnął ku
Jarskiemu dłoń

swą, tak jak to był uczynił przy powitaniu...

Tym razem Oktaw przemógł wstręt i upokorzenie i podał palce do
uścisku... Sauger

zatrzymał dłoń Oktawa w swej ręce, jakby chciał przedłużyć swój
tryumf, i

uśmiechnął się z gryzącym szyderstwem...

— Do widzenia się tedy, panie hrabio — rzekł Sauger ściskając i
potrząsając dłoń

Oktawa z impertynencką swobodą — do widzenia się za trzy
miesiące!

Oktaw wydarł rękę z szponów Saugera, i mimowolnie otarł ją o
surdut, jakby czuł,

ze dłoń jego splamioną dziś została podwójnie, i czynem niegodnym i uściskiem
brudnej, drapieżnej ręki Shylocka...
Uważał to Sauger, ale mimo to opuścił pomieszkane Oktawa w najlepszym humorze.
Idąc szybko ulicą, przyczem trzymał się kamienic, po pod które przesuwiał się,
jakby chciał skradać się do czegoś, uśmiechał się z jadowitem zadowoleniem i od
czasu do czasu zacierał ręce... Kontent był niezmiernie z zawartego interesu,
gdyż dogadzał on jego demonicznemu usposobieniu, którego charakterystykę już
podaliśmy czytelnikom.
Miał się czego radować Sauger; wszakże miał w kieszeni hasło do katastrofy,
bombę która pęknąć mogła w łonie znakomitej rodziny, miał tajemnicę złowrogą i
ciężarną w burzę... Nabył za tanie pieniądze

honor, kupił sobie duszę, położył areszt na spokój serca, wziął w lichwie sen
nocny swej ofiary...
Może Sauger wyobrażał już sobie w myśli, jak kiedyś spotka na spacerze świetną
karetę Rokickich, której towarzyszyć będzie dorodny i elegancki Oktaw na dumnym
koniu, i jak on, żyd wżgardzony, lichwiarz nikczemny, przedmiot wstrętu i
obrzydzenia, spojrzeć będzie mógł na to pyszne towarzystwo wzrokiem, który
piekielnym połyskiem swym szeptać będzie:
— Oto dostojne i wysokie grono, a ja, nikczemny Sauger, mam w kieszeni klucz do
jego spokoju a może i szczęścia! Jak oni dumnie jadą, a ja żyd podły wlokąc się

nędznie, obryzganym błotem przez konie i koła karosy, mam w kieszeni tajemnicę ich nieszczęścia... Z jaką pogardą spozierają na mnie, jak zuchwale woźnica biczem ku mnie się zmierza, a ja mam przecież w kieszeni honor tego ładnego panicza, i łzy i śmiertelną trwogę tej prześlicznej pani, i spokój i cześć siwych włosów tego pysznego, dostojnego magnata! Tylko pędzej, tylko pędzej, pędźcie dumnie i pysznie; cwałuj naprzód szalenie, panie hrabio Jarski; ja jestem za tobą ciągle, ja cię dopędzę piechotą, jak klątwa losu, jak przeznaczenie!...

V.

KAPITAN ZYBERG.

Kilka miesięcy minęło od wyjazdu Rokickich na wieś. Zbrojna, dokąd generał zaraz po owej scenie balowej wyjechał z swoją żoną, była miejscem prześlicznie położonem. Wieś ta stanowiła niejako stolicę ogromnego klucza, który Rokicki posiadał. W samym środku wsi znajdował się starożytny pałac, w stylu zamkowym zbudowany, który generał starannie i z prawdziwym zamiłowaniem utrzymywał. Do pałacu tego wiodła przez całą długość wsi przepyszna aleja lip starych, których cieniste konary tworzyły żywe, zielone sklepienie nad drogą. Miało się już ku zachodowi słońca, gdy aleją tą, lipową jechał konno jakiś mężczyzna w mocno podeszłym już wieku. Mimo to trzymał się dzielnie na koniu a w

całej postaci jego znać było jeszcze siłę i krzepkość. Starzec ten był niskiego wzrostu i bardzo szczupły, ale niemniej przeto pełen męskiej, marsowej jakiejś powagi. Twarz jego jakkolwiek chuda, uderzała mile zdrowym rumieńcem, który wraz z ciemną, opaloną, cerą

dodawał jej wyrazu nadzwyczajnej czerstwości, oko głęboko osadzone, blado-niebieskie, spoglądało żywo i przenikliwie z pod białych brwi, które się dwoma szorstkimi strzepami jeżyły, wąs siwy i z fantazją podkreślony dodawał wyrazowi całej fizjognomji coś rycerskiego i sędziwego zarazem. Na krótko ostrzyżonej głowie siedziała zgrabnie i z pewną junacką fantazją magierka, a krótka kurtka szaraczkowa, takiegoż koloru szarawary i sztylpy, stanowiły skromny ubiór jeźdźca.

I po stroju i po figurze poznać było dawnego żołnierza. Dość było popatrzeć na pewność i swobodę, z jaką staruszek trzymał się na siodle, na wprawę, z jaką kierował dziarskiego i widocznie nieujeżdżonego jeszcze konia aby się domyśleć, że jeśli nie całe swe życie, to przynajmniej całą jego połowę spędził na siodle i w strzemionach.

Był to kapitan Zyberg, znany w całej okolicy weteran. Był on przyjacielem, pełnomocnikiem, rządcą, zgoła ręką prawą hr. Rokickiego, który go jak brata kochał, jak ojca poważał. Zyberg pochodził z znakomitej rodziny polskiej, ród

jego wywodził się z Inflant i był jednym z najzaciewniejszych w Polsce.
Po bogatych
swych antenatach nie odziedziczył jednak Zyberg nic prócz imienia, z
którego był
dumnym aż do słabości.
Zyberg posiadał był kiedyś mały mająteczek, ale ten rozpadł się wśród
zamieszek
krajowych, a po kilkudziesięcioletniej służbie wojskowej w kraju i za
granicą
weteran nasz znalazł się tylko w posiadaniu szlif kapitańskich i krzyża
legji
honorowej. W obozie i za granicą zaprzyjaźnił się był Zyberg z hr.
Rokickim,

z którym przez długie lata dzielił wszystkie przygody losu. Między
oboma
towarzyszami broni panował stosunek najgłębszej przyjaźni — a
przyjaźń ta
zatwierdzoną była krwią, którą Zyberg przelał za Rokickiego ratując
go wśród
jednej z potyczek od nieochybnej śmierci.
Znalazłszy się na obcej ziemi Rokicki i Zyberg bywali nieraz w
bardzo przykrem
położeniu. Jenerał, jakkolwiek bardzo bogaty z domu, przez dłuższy
czas.
nieotrzymywał zasiłków, a wtedy Zyberg dzielił się z nim kęsem
chleba w
dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Rokicki znalazł także nieraz
sposobność
odwzajemnienia się swemu towarzyszowi, a tym sposobem
ugruntowała się między
oboma przyjaźń pełna rzadkiej serdeczności.
Gdy jenerał powrócił do kraju i stale się w nim osiedlił, nie zapomniał
o
Zybergu. Powierzył mu zarząd jednego z najobszerniejszych swych
kluczów, a

zamiast wynagrodzenia oddał mu w bezpłatne i swobodne używanie wioskę małą, ale piękną i intratną. Rokicki nieraz nalegał na kapitana, aby wioskę tę przyjął od niego w darze — ale Zyberg stale się temu opierał. Nie chciał jej nawet używać daremnie, lecz uważał ją tylko za wynagrodzenie swoich trudów około majątku hrabiego, które istotnie były niepospolite. Zyberg lubił życie czynne i ruchliwe, znał się doskonale na gospodarstwie, a był nadto pełen energii i służbistej punktualności. W Drużkowie, bo tak się nazywała wioska ustąpiona Zybergowi przez Rokickiego, osadził kapitan swego

siostrzeńca z żoną i rodziną, a sam cały się oddał pracy około zarządu dóbr hrabiego. Cały dzień uwijał się po folwarkach na koniu, kontrolował wszystko z niesłychaną bystrością, w żołnierskim rygorze trzymał ekonomów i rządców, tak, że w całej administracji panował wzorowy prawdziwie porządek. Zyberg jechał lipową aleją zwolna i zdawał się dumać nad czymś, gdy nagle coś zajęło mocno jego uwagę. Kapitan, jakby tknięty jaką niespodzianką, wspiął się w strzemionach, wychylił się nieco naprzód ponad szyję konia i spojrzał bystro przed siebie. Na twarzy jego zarysował się wyraz jakiegoś niemiłego zdziwienia. Mruknął coś niezrozumiale pod swoim siwym, marsowym wąsem i niecierpliwie ruszył się na siodle. Naprzeciw Zyberga, trzymając się ścieżki bocznej, szła figura jakaś zwolna i

ostrożnie, z spuszczoną głową i krokiem jakby się skradającym. Był to
mężczyzna
już podeszły, w którym po stroju, po fizjonomji a przede wszystkim
po ruchach i
zdradzieckiem, niepewnem spojrzeniu, każdy z naszych czytelników
poznałby
natychmiast — Saugera.
Był to istotnie znajomy nam już lichwiarz. Ubrany był nieco
staranniej niż
zwykle, miał bowiem na sobie ciemny długi surdut a na rękach
brudne, grube
rękawiczki. Gdy zobaczył zdaleka kapitana, zatrzymał się i zdawało
się chwilę,
że chce się ukryć za jedną z lip alei. Jakby jednak już przeczuł, że
Zyberg go
dojrzał, zmienił plan i usuwając się ile możności na bok z drogi,
utkwiał oczy w
ziemię i przyspieszył kroku. Gdy Zyberg zrównał się już z Saugerem,
zatrzymał
konia i ostro

spojrzał na żyda. Sauger rzucił nań z ukosa krótkie, przelotne
spojrzenie, a
potem bardziej jeszcze pochylił głowę i spieszniejszym jeszcze szedł
krokiem.
Kapitan chwilę stał na miejscu nie spuszczając Saugera z oka;
zwrócił nawet do
połowy konia, i patrzył jakiś czas za odchodzącym. Następnie, jakby
pod wpływem
chwilowego gniewu czy indygnacji, dał koniowi ostrogi i ruszył
krótkim galopem w
przeciwną stronę, wiodącą do pałacu Rokickiego. Znalazłszy się na
dziedzińcu,
stanął przed wchodem a ujrawszy tam kilku lokajów, bawiących się
pokryjomu grą

karciana, kiwnął ręką przywołując ich do siebie. Lokaje przestraszeni rzucili

kartę, a po pośpiechu, z jakim stawili się przed kapitanem, poznać było, że bali

go się jak ognia. Zyberg zwrócił się do jednego z nich, który stał na samym

przodzie i zapytał:

— Fan hrabia wrócił?

— Nie jeszcze, proszę pana kapitana.

— Pani hrabina u siebie?

— U siebie, panie kapitanie.

— Kto tu był przed chwilą?

— Żyd jakiś, podobno ze Lwowa.

— Czego chciał?

— Chciał koniecznie widzieć się z jaśnie panią.

— Widział się?

— Nie. Nie puściliśmy go, a gdy bardzo nalegał i prosił, poszedłem się zapytać,

ale jaśnie pani nie kasała go puszczając. Powiedziałem mu, że jeśli ma jakiś

interes, niechaj idzie do pana marszałka lub do pana

sekretarza. On na to odpowiedział, że musi się koniecznie widzieć z samą panią

hrabiną i dał mi list do niej.

— Gdzie ten list? — zawołał z pośpiechem kapitan — czy oddałeś go?

— Nie jeszcze, proszę pana kapitana.

— Daj go tu! — zawołał Zyberg i biorąc list od lokaja, schował go szybko do

kieszeni. — Czy kazał ci więcej co powiedzieć pani hrabinie?

— Prosił zaraz o odpis i mówił, że czekać będzie na odpowiedź dwie godziny w

karczynie na końcu wsi.

— Słuchaj! — zawołał Zyberg — gdyby się tu jeszcze raz pojawił, nie puszczaj go,

nawet na podwórze go niepuścić! Rozumiesz!
Wydawszy ten rozkaz stanowczym głosem Zyberg wyjechał z
podwórza. Gdy się
znajdował już znowu w lipowej alei, wydobył list, rozpieczętował i
odczytał...
Skończywszy czytać kapitan z najwyższym gniewem ścisnął papier w
dłoni, a twarz
jego okryła się prawie pąsem. Jechał zwolna dalej, mocno zajęty
myślami. Nagle,
jakby mu dobra myśl jaka przyszła do głowy, skreślił konia w boczną
drożynę i
pełnym pędem poleciał po pod chaty wiejskie. W jednej prawie chwili
znalazł się
przed kościołem, który wcale nie wyglądał na kościółek wiejski, była
to bowiem
świątynia okazała, zbudowana w najlepszym smaku, poważna cechą
starożytności.
O kilkadziesiąt kroków obok kościoła znajdowało się pomieszkane
plebana. Był to
mały, schludny domeczek murowany, na pół ukryty w cieniu
rozłożystych drzew,
które go dokoła otaczały, opatrzony w ów tradycyjny ganek, bez
którego nie
obejdzie się żaden skromny dworek

wiejski. Na ganeczku tym siedział pleban Zbrojnej, ksiądz Plisza,
kapłan około
sześćdziesięcioletni, z dziwnie pogodną i ujmującą twarzą, z
serdecznym wyrazem
około ust, i z oczyma jasnymi, pełnymi powagi i słodczy zarazem.
Ledwie dały się słyszeć kopyta konia na dziedzińcu maleńkim
plebanji, gdy
wybiegł mały chłopak wiejski, aby wziąć cugle od kapitana. Zyberg
zeskoczył
szybko z konia i podał w milczeniu rękę księdzu Pliszy, który z ganku
wyszedł na

jego powitanie. X. Plisza uważnie spojrzał na kapitana, z którym oddawna w najczulszej żył przyjaźni, a spostrzegłszy jego rozdrażnienie, zapytał z niepokojem:

— Kapitanie! kapitanie! a tam się co stało? Widzę i z twarzy, żeś czegoś albo rozgniewany, albo niespokojny, Nawet Pana Boga nie pochwaliłeś, witasz się milczkiem ponuro jak farmazon.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł Zyberg — przepraszam jegomości, ale tak jestem zirytowany, że o wszystkim zapomniałem. Xieże Andrzeju, mm do was bardzo ważny i bardzo pilny interes! Rzekłszy to kapitan porwał księdza Pliszę szybko za rękę i ciągnął prawie przemocą do pokojów. Xiądz Andrzej z coraz większem zdziwieniem a nawet trwogą spowierał na swego przyjaciela. Gdy znaleźli się w sieniach Kapitan zaryglował drzwi i pociągnął księdza dalej za sobą. Ciągnął go przez wszystkie pokoiki i zatrzymał się aż w ostatniej maleńkiej izdebce, która była sypialnią księdza Pliszy. Dotąd ksiądz Plisza dał się wlec przez kapitana,

tu jednak już wyrwał się z jego silnej dłoni i kładąc mu rękę na ramieniu, spojrzał mu w oczy swym pogodnym, choć nieco zaniepokojonym wzrokiem.

— Zyberg, co się stało! Na Boga, co ci jest, mówże! — zawołał patrząc ciągle na schmurzoną i niespokojną twarz kapitana.

— Xieże Andrzeju! — zawołał szybko i z stanowczym, prawie uroczystym naciskiem

Zyberg — oddaj mi twoje pieniądze, daj mi dużo pieniędzy, daj mi wszystkie

pieniądze, jakie tylko masz u siebie!

Xiądz Andrzej prawie z przerażeniem spojrział na Zyberga. Kapitan był zmieniony i

drżał cały od rozdrażnienia.

— Bóg z nami! — zawołał ksiądz Plisza, sadząc przemocą Zyberga na krzesło i

przysiadając się do niego — co się stało, co się stało, kapitanie?

Chcesz

pieniędzy, dobrze, dam ci je natychmiast, dam ci te, o których wiesz, że...

— O których wiem, że przeznaczyłeś je na cel, o którym całe życie marzyłeś, dla

którego całe życie żyjesz w ubóstwie dobrowolnem, serdeczny mój, dobry, święty

proboszczu! Daj mi te pieniądze, którymi chciałeś rozpocząć budowę szpitalu.

Rozpoczniesz ją, księżę Andrzeju, bo ci je oddam za kilka miesięcy, za kilka

tygodni, ale pożycz mi je, daj mi je natychmiast, wszakże masz je w gotówce...

— Kapitanie mój drogi, czegożbym nie zrobił dla ciebie! — rzekł drżącym od

niepokoju i rozczulenia głosem ksiądz Andrzej, który w tej chwili już stał przy

starym dębowym kantorku i otwierał z gorączkowym po-

śpiechem zamek — ale powiedz biedny, co jest, co zaszło! Wszakże mnie kochasz i

ufasz mi, kapitanie!

— O ojczy kochany! — zawołał Zyberg, całując mimo oporu rękę zacnego kapłana —

opowiem ci wszystko i zaraz, bo pomódz mi musisz!

— Bóg z nami! braciszku! Bóg z nami! tylko uspokój się nieco, bo mnie

śmiertelnie przestraszasz! O cóż tu chodzi?

— Chodzi, księżu Andrzeju, o odwrócenie wielkiego nieszczęścia, chodzi o ratowanie honoru kobiety, spokoju starego przyjaciela, którego tak jak i ja kochasz i poważasz, o odwrócenie hańby z jego siwych włosów, o ratunek młodego człowieka, którego wprawdzie dobrze nie znam, ale którego może czeka los mego biednego bratanka Antosia!...

— Bóg z nami! — zawołał przerażony ksiądz Andrzej i wznosząc oczy ku niebu, wyciągnął dłonie, jakby chciał odzegnać nieszczęście, o którym mówił Zyberg.

— Wszak przypominasz sobie Antosia, księżu Andrzeju? — rzekł kapitan z dziwnym wzruszeniem. — Wiesz, jak skończył!... Ten biedny chłopak, którego jak własnego syna kochałem, bo mi sercem i zaletami swemi przypominał mego jedynego brata, padł, jak wiesz, ofiarą łotra. Młody, trochę lekkomyślny, dostał się w ręce najstraszliwszego lichwiarza, który wyssał z niego wszystko, bo Antoś miał po ojcu piękny fundusik i miał się z czego dorabiać na świecie, umiał skorzystać z desperacji nieszczęśliwego chłopca i skłonił go do czynu upadającego. Nie widząc wyjścia z ciężkich kłopotów,

zaślepiiony fałszywym wstydem zwierzenia się przedemną" dopuścił się w słabej chwili występku, który mu podyktował ów zbrodniarz, radząc mu uciec się do fałszywych podpisów... Biedny Antoś w chwilowym obłąkaniu dał się skłonić, w chwilowym obłąkaniu, mówię, bo to był chłopak krwi dobrej i zanego serca, ale w

kilka dni potem przeraziwszy się własnego czynu, jak wiesz, zastrzelił się...

Zyberg przestał mówić, bo boleśne rozrzewnienie głos mu zaparło w piersiach a

pod siwemi rzęsami łzy mu zabłysnęły.

Ksiądz Plisza płakał jak dziecko...

— Wiesz drogi proboszczu, że wówczas mająteczkiem moim całym uratowałem dobre

imię i zaczął pamięć nieszczęśliwego chłopaka — ciągnął dalej

Zyberg,

przyszedłszy nieco do siebie. — Miałem najoczywistsze dowody

łotrostwa, mogłem

niepłacić fałszywych wexłów, wszak biedny Antoś nie żył już...

mogłem w

więzieniu osadzić łotra, przeciw któremu miałem wszelkie prawne świadectwa!

Niechciałem... Bałem się splamić pocziwe nazwisko, bo w procesie musiałby być

wystąpić na jaw błąd mego bratanka...

— Wystawże sobie, drogi proboszczu — mówił dalej Zyberg, tłumiąc gwałtownie

serdeczne rozżalenie — dzisiaj, przed chwilą, tu w Zbrojnej,

spotkałem mordercę

tego biednego dziecka, tego zbrodniarza, żyda nazwiskiem Saugera!

— Bóg z nami! — zawołał w przerażeniu ksiądz Plisza. "Bóg z nami", było to rzecz

można przysłowie

czcigodnego kapłana. — Kapitanie, czegoż chciał ten człowiek?...

— Proboszczu kochany, przerazisz się, gdy ci dopowiem reszty — odparł kapitan. —

Ten Sauger chciał się koniecznie widzieć z hrabiną Rokicką, a nieprzypuszczony,

taki list do niej zostawił...

Zyberg podał list księdzu Pliszy. Był to nieforemnie złożony kawałek sinego

papieru, zapieczętowany grejcarem. List ten opiewał, jak następuje:

"Jaśnie

Wielmożna Pani Hrabino!

Przed kilku tygodniami kupiłem od jednego znajomego mi kupca
wesel na ,

złr. podpisany przez Jaśnie Wielmożną panią hrabinę i przez JW. pana
hrabiego

Oktawa Jarskiego. Ponieważ termin już upłynął a p. hrabia Jarski nie
może

wypłacić tej sumy, udaję się do JW. p. hrabiny z uniżoną prośbą o
załatwienie

tej bagatelki. Przykroby mi było robić JW. Pani i panu hrabiemu
Jarskiemu

nieprzyjemności sądowe. Czekam tu w gospodzie na odpowiedź.

Najniższy sługa

Sauger. "

Do listu tego dodane było następujące Postscriptum.

"Ja pięknie przepraszam, że się nie udało z tym interesem do Jaśnie
Pana

Excellencji generała, ale JW. panią hrabinę samą fatyguję. Jeżeli Jasna
Pani

hrabina rozkaże, to ja się udam wprost do Jej JWielmożnego męża. "

Cały ten list pisany był żydowską polszczyzną i pełny był
gramatycznych i

ortograficznych błędów,

któreśmy wypuścili. Cały przypisek pisany był dużymi, dosadnymi
literami, a

każde słowo było w nim podkreślone...

Ksiądz Plisza przeczytawszy, rzucił od siebie brudny papier z
wstrętem i zrobił

ruch dłoni, jakby ją chciał obetrzeć.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał. — Ja tego pojąć nie mogę....

— To znaczy, że ten Ust jest piekielną bombą, która gdyby pękła w
domu

Rokickich, zniszczyłaby cały ich spokój domowy!

— Czy hrabina ten list czytała?
— Nie widziała go nawet. Przejąłem go dość wcześnie.
— Któż jest ten Jarski? — zapytał ks. Plisza.
— Młody chłopak, widać lekkomyślny i pusty, igraszka w rękę Saugera!
— Czy przypuszczasz, kapitanie, że hrabina istotnie wexel podpisała?
— zapytał z
indygnacją ksiądz Plisza.
— Albo podpis jest fałszywy, co jest złą sprawą, albo jest prawdziwy,
co stokroć
jest gorszą...
— Ależ na Boga, z kąd się podpis hrabiny dostał właśnie obok podpisu
tego
Jarskiego?
— Nie wiedząc o tem, poruszasz najdrażliwszą, najniebezpieczniejszą
stronę całej
sprawy! — odparł Zyberg. W tem wszystkim jest zawiązek strasznej
katastrofy...
Jeżeli podpis hrabiny prawdziwy, a Rokicki dowie się o tem,
natenczas niechaj im
obojgu Bóg będzie litościw... Rokicki jest namiętym w gniewie,

a namiętność ta podwoi się znowu namiętnością, z jaką kocha swą
żonę... Nie mogę
przewidzieć coby się stało, ale stałoby się coś straszego. Jeżeli
podpis
fałszywy, ten paniczyk Jarski zgubionym jest człowiekiem i pozostaje
mu chyba
los Antosia...
— Nie mów tego! — przerwał wyciągając ręce ksiądz Andrzej, jakby
chciał odeprzeć
myśl poruszoną przez Zyberga.
— Jarski jest kuzynem Rokickiego — ciągnął dalej Zyberg — ale to
nie stanie
zawadą generałowi. Znam go; nieugiętym jest w takich wypadkach.
Postąpi z nim z

żołnierską surowością. Odda go sądom. Gdyby się tak stało, to
nieszczęśliwa
matka Jarskiego, która w synie swym widzi jedyną nadzieję, jedyną
dumę i jedyną
pociechę, umarłaby od boleści...
— Więc ratujmy ich, kapitanie! — zawołał przerażony ksiądz Plisza.
— Co robić,
mów! Żądałeś pieniędzy, masz je tu... spiesz i ratuj ich!
Zyberg wziął pieniądze i przeliczywszy je, rzekł:
— Może nie będzie tyle potrzeba! Idę zaraz do gospody i pomówię z
Saugerem!
Słowa ostatnie wymówił kapitan z groźnym naciskiem.
— Tylko spokojnie i bez gwałtów, mój drogi braciszku i niechaj ci
Bóg pomoże! —
rzekł łagodnym swym głosem ksiądz Plisza.
Zyberg ucałował ramię proboszcza i wybiegł na podwórze. Za chwilę
już pędził na
koniu w kierunku karczmy.

VI.

NOCNA WYPRAWA.

Nad pożyciem małżeńskim hr. Rokickich ciągle jeszcze rozwieszała
się, posepna i
złowroga chmura. W sytuacji, która nastąpiła po scenie balowej, a
którą już
dokładniej określić usiłowaliśmy, nic się nie zmieniło. Między
generałem a Adelą
stanął niejako cień Oktawa. Kilka już razy Rokicki sam czynił krok
pierwszy, aby
rozjaśnić sytuację. Zarzucał sobie podejrzliwość, poczuwał się do
winy, i
żałował serdecznie, że wybuchem nieufności obraził Adelę. Takie
wystąpienie

jednak generała, zamiast położyć koniec dziwnie przykłej sytuacji,
czyniły ją
jeszcze przykrzejszą, jeszcze trudniejszą.
Adela zanadto była zajęta Oktawem, aby go przez przeciąg kilku
miesięcy
zapomnieć, a zanadto szlachetną i uczciwą, aby odegrać zrećźnie
komedję obłudną.
Przepraszania generała zamiast ją uspakajac, rozdrażniały ją tylko i
czyniły tem
nieszczęśliwszą. Gdyby Rokicki był wystąpił jako małżonek
obrażony, gdyby w niej
był wi-

dział kobietę niewierną, Adela byłaby się znalazła w jaskrawszej
może, ale mniej
bolesnej sytuacji.
Takie położenie dręczyło i nużyło do najwyższego stopnia nietylko
Adelę ale i
generała. Rokicki czuł, że to ostatnie nieporozumienie między nim a
Adelą
zupełnie innej było natury, niż wszystkie poprzednie. Tamte były tylko
nieporozumieniami, które po kilku wzajemnych słowach wymówki i
pod wpływem
niewinnych żartów Adeli wyjaśniały się zupełnie — ostatnie zajście
było zagadką"
której generał rozwiązać nie umiał, a które jak posepny upiór jaki stało
ciągle
między nim a Adelą...
Nie zapamiętano dotąd nigdy generała w tak ponurem i drażliwym
usposobieniu, w
jakim się bez przerwy znajdował od tych kilku miesięcy. Był ciężko
zmartwiony,
milczący, gniewny. Postarzał się prawie o lat dziesięć. Dla ulgi szukał
zajęcia,
wynajdywał sobie najrozmaitsze interesa, wyjeżdżał w rozmaite
strony, trudnił

się sam rachunkami gospodarskimi, kłócił się z Zybergiem — ale
niemógł znaleźć
upragnionego roztargnienia, a ciągła, głęboko nurtująca troska trawiła
mu
piersi.

Właśnie w chwili, kiedy odbywały się sceny opisane w poprzednim
rozdziale,

Rokicki wyjechał był na czas nieoznaczony. Przed odjazdem
zapowiedział, że nie
prędka wróci, ale do zapowiedzi takiej niemożna było przypisywać
wagi, gdyż

jenerał, wybrawszy się w dalszą podróż, wracał zazwyczaj nagle i
niespodziewanie

zaraz na dzień drugi lub trzeci. Hrabina pędziła przez ten czas życie
zupełnie

samotne. Nie wyjeżdżała nigdzie

z Zbrojnej, nie przyjmowała żadnych wizyt, mimo że z powodu letniej
pory nie

brakło znajomego sąsiedztwa, całymi dniami siedziała w swych
pokojach i ledwie

wieczorem ujrzeć ją można było w przepysznym parku, który otaczał
pałac.

Nazajutrz po owym spotkaniu się Zyberga z Saugerem, o godzinie
wieczornej Adela

znajdowała się w parku. W jednym z najcienistych i
najustronniejszych zakątków

siedziała w towarzystwie pokojowej, pogrążona w smutnych myślach,
które na czoło

jej zdawały się rzucać cień posepny. Na twarzy Adeli znać było ślady
kilkumiesięcznych cierpień i niepokojów. Twarz ta, do niedawna
jeszcze tak

świeża i pogodna, tak pełna pustoty i uśmiechów, była bladą i
zmęczoną, oczy,

które paliły się ogniem życia, zamglone były pełne smutnego wyrazu.
W całej

postaci hrabiny widać było znużenie, złamanie, stan jakiś dziwnie dręczący...

Od godziny już siedziała hrabina w parku, niezajęta niczem, prócz myśli, gdy z

bocznej alei nadszedł lokaj, niosąc na srebrnej tacy kilka listów.

Hrabina

ocknęła się z zamyślenia i obojętnie poczęła przeglądać listy.

Rzuciwszy

zaledwie okiem na adres, odrzuciła już kilka z nich obojętnie na bok, gdy naraz,

spojrzawszy na ostatni, poruszyła się żywiej i wydała lekki, stłumiony okrzyk...

Spiesznie zebrała wszystkie listy a odprowadzając lokaja, schowała je do kieszeni,

jeden tylko zatrzymując w dłoni, która lekko drżała. Twarz blada dotychczas

okryła się żywym rumieńcem, i hrabina powstając z ławeczki

powróciła szybkim

krokiem do pałacu.

Znalazłszy się w swoim pokoju, zamknęła drzwi na klucz za sobą, i szybko

rozdarła pieczętę listu...

Był to list od Oktawa...

Hrabina zawahała się chwilę, jakby obawiała się odczytać te wiersze, które już

miała przed oczyma... Zdawało się jej, że przyjąwszy i odczytawszy list od

Oktawa, stanie się stokroć winniejszą, niżli była dotąd. Rzuciła list na bok i

zapaliła świecę, jakby go chciała spalić nie czytając. Wzięła do rąk kartkę i

postąpiła z nią szybko ku świecy. Już rozek papieru dosięgał płomyka, gdy nagle

hrabina, jakby nie mając dość siły do pokonania siebie samej, cofnęła go i mnąc

papier w rękach w gorączkowym rozdrażnieniu przechadzać się
poczęła po pokoju.
Po kilku chwilach takiej walki hrabina stanęła i rozwijając pomięty
papier
czytać poczęła... List był I krótki bardzo... Chwilka jedna wystarczała
do
przeczytania tych kilkunastu wierszy.
Adela zbladła i opuściła papier na ziemię... Na twarzy jej wybił się
wyraz
przestrachu i zdumienia... Zdawała się niedowierzać swym oczom,
podniosła list z
ziemi i raz go jeszcze przebiegła oczyma. Drżąc cała od wzruszenia i
niepokoju,
rzuciła się bezwładnie na sofę...
List Oktawa opiewał:
"Droga kuzyno! Nie wiem czy list ten mnie samego uprzedzić zdoła,
bo w środę
wieczorem sam będę w Zbrojnej. Chcę się widzieć z tobą koniecznie i
mu-

szę się widzieć, hrabino! Tego dnia wieczorem oczekiwać panią będę
za owym
rzędem topoli, co otacza kościół. Piszę krótko, bo mam nadzieję, że
się rozmówić
ze mną znajdziesz pani sposobność. Hrabino! muszę się przyznać do
szalonego
kroku, z którego śmiać się kiedyś będziemy, ale który dzisiaj dla mnie
i dla
pewnych osób wcale śmiesznym nie jest. Kuzynko droga, nie
zgadłabyś nigdy, że
ręczysz za mnie sześciutysięczną sumę. Zniewolono mnie do
położenia Twego
podpisu, hrabino. Za trzy dni od dzisiaj zapłacić muszę, gdyż byłbym
zhańbionym,
a mój wierzyciel, człowiek straszliwy, gotów się udać natychmiast do
generała.

Nie mam ani grosza. Muszę się stawić przed Tobą, hrabino, aby cię na klęczkach przeprosić za moją lekkomyślność i błagać o pomoc. Za kilka miesięcy znajdę się w innej sytuacji. Tymczasem, bez Twojej pomocy, kuzynko droga, byłby zgubionym Twój biedny kuzyn Oktaw. "

Niepodobna nam dokładnie opisać wrażeń, jakie wywołał na Adeli ten list lakoniczny Jarskiego. Na uczucie, które przejmowało po jego odczytaniu pierś hrabiny, składały się i gniew, i duma dotkliwie obrażona, i miłość, i współczucie i przestach w końcu głęboki, zdający się być najsilniejszym z tych wszystkich wrażeń. Pierwszem uczuciem, które się żywo odezwało, był gniew i obrażona duma. Lakoniczne wezwanie hrabiny do schadzki oburzyło ją srodze. Czytelnikom znany jest stosunek, który istniał między Oktawem a hrabiną Adelą. W stosunku tym nie było uprawnień dla Oktawa, aby

zywał się do hrabiny w tonie takiej pewności. Jeżeli Adela czuła się winną w własnym sumieniu, to nie miała sobie jednak nic do zarzucenia co do restrykcji postępowaniu z Oktawem. Na dnie ich wzajemnych stosunków leżała miłość, ale ostatniego tego słowa dopowiedział stanowczo ani Oktaw Adeli, ani Adela samej sobie odpowiedzieć jeszcze nie śmiała...

List Oktawa wydał się tedy hrabinie upokorzeniem i obrażą. W Adeli odezwał się na chwilę majestat szlachetnej dumy niewieściej. Upokorzenie to uznawała za karę

dla siebie; za karę, która jednak powinna była zamknąć cały ten epizod romansowy. Gdyby Oktaw nie był wymienił w swym liście powodów wyjątkowych, których hrabinie tak obcesowo rendez-vous przetaczył, Adela byłaby mu niezawodnie dała odprawę, na jaką się tylko zdobyć może dotkliwie obrażona duma kobiety. Ale list Oktawa podając cel schadzki, uniewinniał niejako zuchwalstwo. Do uczucia dumy przybyły uczucie trwogi i sympatji... Trwoga hrabiny była usprawiedliwioną. Hańba, która spadłaby na Oktawa, byłaby jej udziałem. Katastrofa wymagałaby dwóch ofiar, katastrofą taką byłaby okoliczność, gdyby generał dowiedział się o owym fatalnym wexlu. Jeżeli Oktaw go zapłaci natychmiast, okoliczność taka jest nieuniknioną... Dreszcz zimny ścinał krew w Adeli, gdy pomyślała takiej katastrofie... Gdyby rzecz cała z powodu niezaczenia długu wykryła się przed generałem, Jarski miałby innego wyjścia przed sobą, jak tylko ucieczkę

i hańbę, lub straszliwy krok samobójczy... Adela zanadto dobrze знаła generała, aby nie być przekonaną, że generał nie miałby litości. Odkrycie takie uderzyłoby w najsłabsze strony charakteru Rokickiego, w jego gwałtowność, jego bezwzględność, nieubłaganą surowość w obec takich lekkomyślnych wybryków młodości, a w końcu w jego zazdrość... Namietne usposobienie generała znalazłoby w takim odkryciu powód do

straszliwego wybuchu. Wieczne podejrzania i objawy zazdrości
zmieniłyby się tym
razem w burzę, któraby na zawsze może zniszczyła spokój domowy i
uczyniła
nieszczęśliwymi nietylko Adełę, ale samego generała, Adela czuła, jak
jej serce
ściska się od przerażenia na samą, myśl podobnej katastrofy...
A gdyby nawet generał uwierzył w niewinność Adeli, gdyby był
przekonany, że
wszystko wypłynęło z niczem nieusprawiedliwionej, zuchwałej
lekkomyślności
Oktawa
— czyż właśnie los samegoż Oktawa nie byłby dostateczną przyczyną
śmiertelnego
niepokoju i trwogi dla hrabiny?...
Adela po chwili pozornego osłupienia porwała się szybko z krzesła i
zawołała do
siebie stłumionym i przerażonym głosem:
— Muszę go ratować koniecznie!...
— Ratować Oktawa, znaczy ratować siebie i męża... — dodała w
myśli, jakby ten
zamiar potrzebował jeszcze usprawiedliwienia.
Adela nie wahała się tedy nawet na chwilę nieść pomoc Jarskiemu.
Ale między
zamiarem a czynem stanęła nieprzewyciężona na pozór przeszkoda.
Chodziło

sposób ratunku, o środki pomocy. Hrabina szybkim krokiem przeszła
przez pokój i
zatrzymując się znowu na miejscu, szeptała strwożonym głosem:
— Ale jakże mu pomogę! Cóż pocznę?...
Pierwszym warunkiem ratunku był pośpiech największy. Dziś, za
godzinę, Oktaw
miał na nią, czekać, dziś jeszcze miała mu podać środki ratunku...
Adela rzuciła obłąkanym prawie wzrokiem na zegar. Wyraźniej
jeszcze niż jego

wskazówki uwiadamił ją złocisty potok zachodzących promieni
słonecznych, że
pozostaje jej zaledwie godzina czasu...
Za godzinę Oktaw będzie ją oczekiwał, może ją już nawet oczekuje...
cóż mu
powie?...

Najlepszym środkiem było posłać mu natychmiast żadaną sumę,
choćby przez lokaja.
Byłby to najlepszy sposób odprawy i szlachetnej zemsty za obrazę i
płochosć
Oktawa. Adela byłaby to uczyniła — gdyby Jarski nie był w niej
wzbudzał czegoś
więcej niżli samo zwykłe współczucie...
Pójść na oznaczone miejsce i doręczyć Jarskiemu pieniądze —
zdawało się Adeli
krokiem koniecznym. Ale zkadże wziąć tak prędko, nawet
natychmiast, tak znaczną
sumę?... Hrabina nie miała pieniędzy. Jakby się sama chciała łudzić
choć przez
chwilkę nadzieją, poskoczyła szybko do biórka, i drżącymi rękoma
poczęła
przeszukiwać jego szuflady, ale cały zapas jej pieniężny był zaledwie
maleńką
częstką potrzebnej sumy.
Wpadły jej na myśl klejnoty, które pokryć mogły dziesięćkroć
większą sumę, ale w
tej samej chwili

przypomniała sobie, że od przyjazdu na wieś nie zostały jeszcze
wypakowane i
znajdują się pod kluczem jenerała...
— Boże mój! — zawołała z dziwnym wyrazem grozy hrabina —
chodzi o tak małą,
sumę, i nie mogę nią usunąć niebezpieczeństwa, które nam tak
straszliwie
grozi!...

Pani milionowa, dziedziczka olbrzymich obszarów ziemi, mająca z własnej tylko fortuny krocie rocznego dochodu do dyspozycji, nie miała w tej chwili potrzebnej tak drobnej stosunkowo kwoty... Przez umysł hrabiny przebiegły najrozmaitsze plany... Gdyby był generał w domu, byłaby udała się do niego, padła mu do nóg i wśród łez wstydu i boleści wyznała mu wszystko, prosząc o przebaczenie... Ale Rokicki wyjechał przed kilku dniami i za kilka dni dopiero go się spodziewano. Chwilkę myślała Adela, — nagle zadzwoniła kilkakrotnie i gwałtownie. Na niezwykle dzwonienie wpadło do pokoju dwóch lokajów i pokojowa. — Siadaj natychmiast na konia! — zawołała hrabina do jednego z nich — i jedź po pana kapitana Zyberga! Proś go, aby natychmiast, ile konie wyskoczą, tu przyjechał! Powiedz, że go o to bardzo proszę! — Pana kapitana nie ma — odparł lokaj — pojechał do Lwowa i jeszcze nie wrócił. Dopiero jutro rano przyjedzie. Hrabina dobyte sił ostatnich, aby pokryć swe po-

mięszanie i niemym ruchem dłoni odprawiła służbę. Ostatnia nadzieja ją zawiodła... Przed Zybergiem byłaby się zwierzyła z wszystkiego, bo miała ufność do niego, a on ją kochał jak swoją córkę. Teraz i ten środek okazał się niemożliwym... Trwoga i niepokój hrabiny wzrastały z każdą chwilą. Adela drżała kurczowo, a na piękne jej, jak marmur blade czoło, wystąpił pot zimny...

W pokoju zaczęło się robić ciemno... Zmrok zapadł już na dworze, a ostatnie błyski zachodzącego słońca, łamiąc się z cieniami zmroku, złociły liście drzew w parku. Zegar uderzył godzinę ósmą... Dźwięk zegaru obudził Adelę i wzniecił w niej nową energię... — Pójdę do jego pokoju.. Może znajdę... — szepnęła pobladłymi ustami i chwyciła do rąk zapaloną świecę. Dziwnie zmieniona, z wyrazem nieopisanego lęku na pięknej, bladej twarzy, od której posępnym jakimś kontrastem odbijały czarne sploty włosów, krokiem szybkim, ale na palcach i cicho, przesunęła się hrabina przez amfiladę pokojów, które oddzielały jej budoar od gabinetu męża... Lada szelest gałęzi w parku, który wietrzyk niósł pokoju, każdy głośniejszy szum sukni, włóczącej się dywanach, przejmował lękiem hrabinę... Zdawało się j, że ją ktoś podsłuchuje... Stawała wtedy i zapierając oddech w piersiach, patrzyła dokoła wystraszonym wzrokiem...

Nareszcie znalazła się w gabinecie męża. Był to pokój mały, którego ściany otoczone były dokoła szafami książek i okryte mappami i planami strategicznemu W jednym wolnym od książek kącie stała żelazna kasa... Hrabina wszedłszy na próg gabinetu zatrzymała się i wydała okrzyk stłumiony. Tuż naprzeciw niej, nad biurkiem wisiał duży portret Rokickiego... W rozdrażnieniu gorączkowym, w jakim się znajdowała w tej chwili Adela, rysy męża musiały

sprawić na niej gwałtowne wrażenie. Z ram posepnych dębowych
jenerał zdawał się
na nią patrzeć wzrokiem przenikliwym i srogim...
Wkrótce pokonała jednak Adela to uczucie przestachu... Oglądnęła
się do koła i
wśród gwałtownego bicia serca zbliżyła się do kasy...
Na bladą twarz hrabiny wystąpił przelotny wyraz radości... Kasa była
otwartą..
Adela otworzyła ciężkie drzwi żelazne i drżącymi dłońmi sięgnęła po
pek
bankowych asygnat. Odliczyła sześć biletów po tysiąc zł. i szybko,
ruchem
gorączkowym ukryła je za gorsem...
Jeszcze raz powiodła wzrokiem dokoła i szybko, jakby ją kto ścigał,
wybiegła z
gabinetu...
Gdy się znalazła w swoim pokoju, oczy jej spotkały zwierciadło.
Hrabina zadrzała
przed swoją własną postacią. Twarz jej była w najwyższym
nerwowym rozdrażnieniu,
oczy zmieniły się od wyrazu głębokiej trwogi, a na bladą przed chwilą
twarz
wystąpiły gorączkowe rumieńce...

Adela rzuciła się na fotel, jakby chciała odpocząć i uspokoić się nieco.
W tej
chwili jednak powstała znowu, dobyła z biurka klucz jakiś i
zarzucając na siebie
szal duży wymknęła się z pokoju.
Szybko zeszła po wschodach pałacu a ztamtąd udała się do parku.
Przebiegła aleje
parku z pośpiechem a znalazłszy się przed małą żelazną furtką na
samym końcu
ogrodu, otworzyła ją kluczem.
Hrabina znalazła się teraz na wiejskiej drożynie. Okryła głowę
bardziej jeszcze

szalem i szybko udała się w stronę ku kościołowi...
Słońce zaszło już było przed półgodziną. Zmrok był już zupełny a z
po za
pogodnego, nocnego horyzontu wypływała powoli i majestatycznie
pełnia księżyca.
W blasku jego, na tle drzew rosnących wzdłuż drożyny, w dziwnie
fantastyczny
sposób odbijała się postać wyniosłej kobiety, osłoniętej ciemną
draperją
szalu...
Bojąc się nawet oglądać, hrabina biegła naprzód, a serce biło jej
gwałtownie od
wzburzenia i trwogi. Za chwilę znalazła się w pobliżu kościoła. Tuż o
kilkanaście kroków ciągnęła się droga, która okrążając niejako
kościół, wpadała
potem w znajomą już nam aleję lipową.
Gdy hrabina mijała kościół, aby udać się na wyznaczone w liście
Jarskiego
miejsce, dał się słyszeć turkot powozu. Adela zadrżała od nagłego
lęku i
wstrzymała się mimowolnie. Turkot zbliżał się szybko, a powóz
dojeżdżał już do
hrabiny...
Był to powóz otwarty, zaprzężony czterema pięknymi końmi. Hrabina
spojrzała nań i
uczula, że nogi się

pod nią łamią i że serce jej bić przestaje od strasznej trwogi...
Był to właśnie generał, mąż jej, który wracał do domu. Adela poznała
jego powóz
i zdało jej się nawet, że widzi twarz jego, zwróconą ku niej, że
spotyka się
nawet wprost z jego wzrokiem.
Z rozpaczliwym wysiłkiem sił, hrabina skoczyła w bok i stanęła w
sklepieniu muru

kościelnego, w którym znajdowały się boczne drzwi, wiodące do zakrystji. W natchnieniu trwogi, z którego sobie ani teraz ani nigdy potem nie umiała zdać sprawy, hrabina machinalnie chwyciła za klamkę, cisnąc ją gwałtownie... Drzwi otwarły się, a hrabina weszła do przedsionka małego, który prowadził do zakrystji. Niesłychane rozdrażnienie nerwowe, w jakim się znajdowała Adela, tak dalece spotęgowało jej przestach, że nieprzytomna, prawie na pół obłąkana, gnana lękiem jakimś nieopisanym, skryła się, w ciemny kąt przedsionka za dużą ławkę, która tam stała... W tej chwili odezwał się głos dzwonka... W przedsionku błysnęło światło i dwie postacie wyszły z zakrystji... Był to ksiądz Andrzej z kościelnym. Zawezwano pociechy kapłańskiej dla jakiegoś konającego wieśniaka, a pleban udawał się z przenajświętszym sakramentem do śmiertelnego łoża... Dzwonek zajęczał żałobnie w przedsionku, ksiądz Andrzej wyszedł z sługą kościelnym, a drzwi zostały z zewnątrz zamknięte... Przez długą chwilę hrabina nie mogła przyjść do siebie... Nie zemdląła wprawdzie, ale wszystkie do-

znane wrażenia tak silnie wstrzęsły całą jej istotą, wszystkie gorączkowe myśli tak chaotycznie cisnęły się do głowy, że nie miała żadnego jasnego poczucia swej sytuacji... Chłód kościelnych murów ocucił ją powoli. Ujrawszy światło w zakrystji, hrabina

wyszła z swego ukrycia. Weszła do zakrystji a czując zupełne osłabienie,
usiadła... Cisza, która rozlegała się dokoła niej, a która w takim miejscu
nabierała dziwnie uroczystej cechy, jeżeli nie zdołała usunąć zupełnie trwogi i
wzburzenia hrabiny, to przynajmniej uspokoiła nieco jej myśli...
Przyszedłszy tak nieco do siebie Adela powiodła okiem po murach...
Przez wysokie gotyckie okno padały promienie księżyca i łamiąc się o łuki
sklepienia, rzucały stłumione blaski na wnętrze zakrystji. Tuż
naprzeciw hrabiny
znajdowały się w ścianie trzy pomniki w formie sarkofagów. Były to grobowce
trzech kobiet z familji Rokickich, trzech matron, które fundacjami swemi
przyczyniły się najwięcej do wzniesienia i uposażenia świątyni...
Hrabina z głęboką, grozą spojrzała na nie... Ledwie jednak wzrok jej spoczął na
pomnikach grobowych, już się od nich oderwać nie mógł... Zdawały się one dziwną
jakaś magnetyczną siłą przykuwać do siebie oczy Adeli... Patrzyła na nie z
mimowolną uwagą, z uroczystym lękiem...
Na samym szczycie leżał na trumnie czarny marmurowy posąg Izabelli Rokickiej,
województwy olbromskiej, pani słynącej w krainie rodzinnej z sercowej cnoty i
wysokiego ducha, która Ojczyźnie wychowała trzech

synów, co później bohaterskimi czyny zasłynęli na kartach dziejowych. Tuż pod
tym pomnikiem znajdował się drugi Magdaleny Rokickiej, kasztelanowej
wychowskiej, znanej z heroicznego poświęcenia i niezłamanego hartu duszy, który

nieopuścił jej ani chwili, gdy dzielić jej przyszło cierpienia jassyru
wraz z
mężem pojmanym przez pogański hufiec. Na samym dole spoczywał
pomnik Zofji,
starościny kaliskiej, której pamięć kroniki rodu Rokickich otaczały
aureolą,
najpiękniejszej, najczulszej miłości małżeńskiej. Ona to straciwszy
dwóch synów
w szeregach konfederacji barskiej, gdy męża jej Moskale uwięzili do
Kaługi,
pieszo, bez środków, wśród ostrej zimy dotarła do miejsca wygnania i
w
powitalnych objęciach zdumionego małżonka oddała ducha,
wymówiwszy te szczytne
słowa: "Przysięgam, iż cię nieopuszczę aż do śmierci... "
Słowa te wykute były w marmurze pod sarkofagiem starościny Zofji.
"Przysięgam,
iż cię nieopuszczę, aż do śmierci!" — to całe było jej epitaphium, a
czyż można
było w krótszych a wymowniejszych słowach zamknąć treść życia i
cierpienie wiernej
małżonki?...

Wszystkie te trzy zmarłe matrony domu Rokickich oddane były przez
rzeźbiarza w
ubiorach mniszych, poważnych, prostych i surowych, jak ich życie
całe...

Adela patrzyła z uczuciem głębokiego szacunku na te trzy postacie z
czarnego
marmuru... Te matrony w mniszych sukienkach, z obliczami
surowymi a pełnymi
przytem pogodnej jakiejś powagi zdawały się patrzeć na

nią karcącym i groźnym wzrokiem... Od tych grobowców zdawało się
płynąć nieme
zapytanie:

— Niegodna! czyż śmiesz stanąć obok nas i wśród matek zacnego rodu?...

Hrabina z skruchą pochyliła swe blade czoło... Zdało jej się, że zasługiwała na przekleństwo tych duchów opiekuńczych rodziny, że stała się hańbą tego domu, którego niewiasty otaczała zawsze aureola najsurowszej cnoty i najczulszego poświęcenia... Padła na kolana i przykładając skroń swą pałającą do zimnej posadzki kościoła, zanosła się od gwałtownego łkania... Nagle jednak, jakby ją niezwykły jakiś lęk opanował, porwała się szybko i pobiegła ku drzwiom.

Na szczęście drzwi od zakrystji sługa kościelny nie zamknął na klucz za sobą.

Hrabina znalazła się na polu, pod jasnym, uroczym sklepieniem, rozścielającym gwiaździstą tkaninę nad ziemią, strojną całym wdzięcznym powabem lipcowej nocy...

Była już przed parkiem, gdy doszedł ją dźwięk smutny dzwonka, który towarzyszył księdzu Andrzejowi w powrocie z świętej misji kapłańskiej...

W sam czas powracała Adela, bo jenerał szukał ją i kazał szukać służbie, pełen trwogi i złego przeczucia. Po długim szukaniu w parku znaleziono hrabinę w jednej z ustronnych części ogrodu, leżącą na ziemi i omdlałą...

VII.

ZYBERG ODBYWA ZWYCIĘZKĄ KAMPANJĘ.

Powróćmy teraz do kapitana Zyberga, którego zostawiliśmy pędzącego na koniu ku

gospodzie. Za małą chwilę stanął koń zadyszany przed karczmą.
Zyberg zeskokczył,
podał cugle stojącemu w pobliżu wieśniakowi i wszedłszy do
obszernych sieni
karczmy, zapytał żyda, który wybiegł naprzeciw niego usłużnie:
— Masz tu jednego gościa, z którym się widzieć muszę! Gdzie jest
ten żyd ze
Lwowa, który miał interes do pani hrabiny?
— On właśnie czeka na posłańca ze dworu — odpowiedział żyd — a
teraz chciał już
posyłać drugi raz z listem do Jaśnie Pani, bo, jak powiada, ma bardzo
pilny
interes.
— Pokaż mi go, gdzie jest? — zapytał kapitan głosem na pozór
spokojnym, który
zdradzał jednak, że w piersi Zyberga kipiało.

— On tu w osobnej izdebce stoi — odparł żyd prowadząc Zyberga do
małych i
brudnych drzwi w kącie ciemnych sieni.
Zyberg postąpił szybko ku drzwiom a odprawiwszy żyda, otworzył i
wszedł do
środku. Pod oknem, przy małym, kulawym stole siedział Sauger i
pisał coś na
kartce siwego papieru, usiłując pokonać nieposłuszne narzędzia do
pisania,
których mu udzielił gospodarz.
Na odgłos otwierających się drzwi Sauger podniósł oczy od papieru, a
ujrzawszy
kapitana, powstał szybko z krzesła a twarz mu pobladła widocznie.
Kapitan zaryglował szybko drzwi za sobą, zamknął je na klucz, który
schował do
kieszeni, i zbliżył się do lichwiarza. Sauger trwożnie oglądając się do
koła, a
potem rzucił szybkie spojrzenie na okno, jakby chciał przez nie
wyskokczyć. W tej

chwili Zyberg już stał tuż koło niego. .

— Padam do nóżek Wielmożnemu Panu — rzekł pierwszy Sauger, kłaniając się nisko —

pan zapewne mnie nie zna, ale ja znam pana kapitana.

Zyberg nic nie odpowiedział, ale pogardliwym i groźnym spojrzeniem zmierzył

żyda, a potem usiadł. Nastąpiła chwila milczenia. Sauger, który ukradkiem

świdrował oczyma kapitana, uspokoił się nieco, a choć blady był od mimowolnej

trwogi i pomieszany, usiłował udawać zupełną swobodę. Kapitana twarz była

zarumienioną od wzburzenia, a oczy zdawały się miotać iskry.

Siedział, nic nie

mówiąc, jakby się chciał wpierwej umiarkować i uspokoić, nim przystąpi do

rozprawy.

— Czegoś tu przybył kanal... żydzie! — zapytał

nagle Zyberg, tłumiąc na w pół wypowiedziany komplement.

Sauger łypnął oczyma z jadowitym wyrazem i odparł swym cichym, syczącym głosem:

— To jabym o to pana kapitana mógł zapytać. Ja jestem u siebie.

Czem mogę służyć panu dobrodziejowi?

— Czegoś chciał od hrabiny Rokickiej ? — zapytał Zyberg.

— Pani hrabina wie, czego, a dla innych to rzecz obojętna — odparł Sauger, który

odzyskał cały swój zwykły kontenans, myśląc, że jest panem sytuacji, i że Zyberg

albo o niczem nie wie, albo wiedząc, przychodzi jako poufnik hrabiny.

— Hrabina o niczem nie wie.

— Pisałem list do pani hrabiny.

— Nie czytała go.

— Tem gorzej — odparł sucho Sauger.

— Czytał go kto inny... — ciągnął dalej kapitan.
— Nie moja wina. Ja żałuję, że tak się stało.
— Masz powód żałować... żydzie — rzekł kapitan — bo list ten dostał się w moje ręce. — Przyszedłem się zapytać, co to znaczy?
Tu Zyberg wydobył list pomięty i pokazał go Sangerowi.
— Czy pan kapitan czytał list?
— Czytałem.
— Teraz ja pana kapitana będę miał honor zapytać, co to znaczy?...
Kapitana twarz straciła rumieniec a okryła się

złowrogą bladością. Było to zwykle stadjum w temperamencie kapitana. Znaczyło to, że gorączkowa niecierpliwość i zwykła porywczność gniewu opuściła go, i że jej miejsce zajęła jakaś zimna, żelazna a straszna decyzja. Z nadspodziewanym spokojem, który jaskrawo odbijał od niedawnego rozdrażnienia, sięgnął Zyberg do zanadru swjej sieraczkowej kurtki i wydobył z niej pistolet, bez którego, starym obozowym zwyczajem, nigdy nie opuszczał domu. Sauger ujrzawszy broń w ręku kapitana, drgnął na całym ciele od przestachu i pobladł jak kreda.
— To znaczy — rzekł Zyberg, odpowiadając na poprzednie szydercze zapytanie Saugera — to znaczy, że tym razem nie ujdiesz mi, Sauger! Jeżeli nie skłonię cię do tego, abyś przyjął moje warunki, natenczas, patrz, to mój ostatni argument!
— Szczególny sposób płacenia długów... — syknął (przez zęby) Sauger. Kapitan nic nie odpowiedział, ale odciągnął kurek, opatrzył piston i położył pistolet przed sobą na stole.

— Panie Zyberg! — zawołał Sauger — co pan zamysłasz?...
— Zamysłam strzelić ci w łeb, jak psu — odparł zimnym i stanowczym głosem kapitan — jeżeli mnie zmusisz do tego!
— Pan kapitan żartuje... — rzekł drżącym głosem Sauger, próbując się uśmiechnąć.
— Słuchaj Sauger! Popatrz mi w oczy i powiedz, czy wyglądam na człowieka, który żartuje? Jesteś

zbrodniarzem i łotrem, którego uczynić nieszkodliwym będzie zasługą. Palnę do ciebie, jak w jasną świecę, a wierz mi, nawet ręka mi przytem niezadrży. Słuchaj mnie, Sauger, i uważaj dobrze, co mówię. Jesteś upiorem, który ssał pot i krew niejednego nieszczęśliwego, który był klątwą życia mnóstwa ludzi. Znam cię dobrze, wampirze! Na twoich siwych włosach ciężą łzy, twoje ręce obryzgane są krwią! Popatrz na twoje dłonie, stary, nikczemny łotrze, azali krwi na niej nie znajdziesz! Na tych szponach twoich obrzydliwych jest i moja krew serdeczna, krew mego bratanka, Antoniego. Wszak pamiętasz go, nędzniku?! Wiedz o tem, że zhańbiłeś i zabiłeś mi dziecko, wiedz o tem, że chcesz mi zhańbić i zabić teraz przyjaciela, niosąc mu w dom burzę, wstyd i nieszczęście! Nie jestem rozbójnikiem, i nie chcę wydzierać ci twych zysków lichwiarskich! Nie jestem katem i nie chcę cię sam karać za twoje zbrodnie, nędzarzu! Ale jestem strażnikiem czci tego domu, który kocham, i żal mi tego chłopca, co się w sieć twą szatańską uwikłał. Nie przychodzę też z samą kulą ołowianą, ale przychodzę i

ze złotem. Zrobię ci propozycję i żądam jej przyjęcia. Jeżeli jej przyjąć
nie
zechcesz i nie wyrzekniesz się owoców twojej intrygi, natenczas,
przysięgam,
zabiję cię. Przysięgam jako katolik, jako starzec nad grobem stojący,
jako
oficer, który nigdy nie złamał słowa w życiu; przysięgam ci na mój
honor i na
cześć moich włosów siwych, że albo propozycję moją przyjmiesz,
albo żyw ztąd nie
wyjdiesz!
Sauger struchlał pod wpływem tej przemowy. Zyberg wyrzekł to
wszystko z takim
zimnym spokojem

i tonem tak strasznej decyzji, że Sauger nie mógł słów uważać za
prostą
pogrózkę. Gdyby Zyberg był zalał i rzucał się, gdyby był wybuchał
gniewem
gwałtownym, nie byłby tak strasznym, jak teraz, w tym złowrogim
spokoju.

— Czegóż pan żądasz odemnie? — zapytał Sauger rżącym i pełnym
trwogi głosem.

— Wydadz mi natychmiast wexel, który posiadasz!

— Czy pan go zapłaci?

— Zapłacę, ale zgodzić się musimy na cenę.

— Czy pan wiś, ile wart ten wexel? — zapytał Sauger, któremu się
oczy dziwnie

przy tych słowach zaiskrzyły.

— Wiem przynajmniej, że go na sześć tysięcy ocenileś...

— Kto go na sześć tysięcy ocenił?! — zawołał Sauger impetycznie

— ja go tak nie

ocenił? Sześć tysięcy?! Co znaczą sześć tysięcy za taki wexel? On

wart pięć razy

tyle!

— Wexel opiewa przecież tylko na sześć tysięcy!

— Co to znaczy? — rzekł żyd z demonicznym uśmiechem. — Za kilka tygodni da mi za niego sam Jarski dwadzieścia tysięcy, a pani hrabina Rokicka dziś mi go chętnie za trzydzieści odkupi, jeżeli się dobrze potarguję!
— Milcz! — przerwał Zyberg — i pamiętaj, co ci powiedziałem na samym wstępie.
Wexel twój opiewa na sześć tysięcy; wiem że najmniej liczysz dwieście za sto, azatem kosztuje cię dwa tysiące.

— Dwa tysiące!! — syknął żyd prawie z wściekłością.
— Powiedziałem, że niechęć ci odbierać twoich lichwiarskich zysków. Dam ci cztery tysiące a ty mi oddasz wexel.
Rzekłszy to kapitan utkwiał wzrok swój groźny a spokojny w Saugera. Potem wydobył pęk bankowych biletów i ściskając je w lewej ręce, wziął do prawej pistolet.
— Daję ci pięć minut do decyzji. Dłużej nie będę czekał — a potem niechaj nam obom Bóg będzie miłościw!
Sauger zgrzytał zębami, rzucał jadowite spojrzenia na kapitana, wykrzywił twarz swą, jakby była fantastyczną jaką maskarą, mówił, syczał, bełkotał, targował się, odgrażał... ale na Zybergu nie robiło to wrażenia.
Kapitan patrzył spokojnie na zegarek i czekał upływu terminu. Nagle wstał, i zapytał:
— Zgoda?
Sauger badawczo spojrzał na Zyberga, jakby chciał wyczytać z jego twarzy, czy istotnie gotów jest spełnić groźbę. Kapitana twarz była blada, spokojna, a straszny wyraz decyzji nie ustąpił z niej ani na chwilę.

Sauger wydobył wexel i rzucił go na stół kapitanowi. Zyberg wziął go spiesznie, bacznie obejrzał, i odetchnąwszy głęboko, jakby po ciężkiem przesileniu, schował go do kieszeni. Sauger tymczasem z twarzą na której przebijał się ohydny wyraz bezsilnej wściekłości, liczył leżące na stole pieniądze.

— Mój panie — odezwał się jadowitym tonem Sauger chowając pieniądze do swych bezdennych kieszeni — czy pan wiesz, że to gwałt był, i że ja... Zyberg nie dał mu skończyć, ale zbliżając się do niego i mierząc go groźnie wzrokiem, zawołał:
— Słuchajże Sauger, jeszcze jedno słówko mam do powiedzenia. Ty wiesz doskonale, że twoje postąpienie z moim bratankiem, któregoś o śmierć przyprawił, było zbrodnią i oszustwem, i to nietylko zbrodnią w obec Boga i sumienia, ale zbrodnią w obec sądów; ty wiesz o tem, ale nie wiesz zapewne, że w moim ręku znajdują się najzupełniejsze dowody tej zbrodni, i że wystarczy tylko słówko jedno, aby cię osadzić tam, gdzie ci się oddawna należy miejsce, w kryminale. Uśmiechasz się na to, bo wiesz, że jeżeli tego dotychczas nie uczyniłem, to nie przez pobłażliwość dla ciebie, ale przez wzgląd na poczciwe imię, które noszę, a które nosił także mój brataniec. Nie chciałem tej sprawy wywlekać przed sąd sprawiedliwości ludzkiej. Ale to był wstyd fałszywy, i ja ten wstyd pokonać potrafię. Honor osób, na który godzisz, jest mi tak drogi,

jak honor mego nieboszczyka bratańca, jak honor mój własny, i przysięgam ci, Sauger, na wszystko, co mi święte, że wytoczę ci śledztwo i do kryminału wsadzę, jeżeli szepniesz kiedykolwiek słówko o tej sprawie całej! Pogrzeb ją wraz z innemi twemi brudnemi tajemnicami, rzuć ją w głąb twej czarnej duszy, w której już tyle strasznych zbrodni spoczywa! Dziś jeszcze jadę do Lwowa i zaraz składam wszystkie dowody przeciw tobie u mego adwokata. Naj-

mniejsza niedyskrecja z twojej strony, a obaczysz, czy się nie sprawdzą, moje słowa!

Rzekłszy te słowa tonem stanowczym i energicznym który tak imponował Saugerowi, kapitan otworzył drzwi i wyszedł. Siadłszy na konia, popędził galopem do Drużkowa, i tu nie odpowiadając nawet nic na pytania rodziny i na jej czułe wymówki, kazał natychmiast zaprządz konie i pojechał do Lwowa. Późno w nocy przybył Zyberg do miasta. Przenocował w hotelu, a nazajutrz rano wysłał komisjonera po adres Jarskiego. Skoro o adresie się dowiedział, udał się natychmiast na miejsce wskazane. Jarski mieszkał na jednej z najokazalszych ulic. Przed pomieszkaniem jego stał parokonny fjakier. Kapitan mijając go, zapytał woźnicę:

- Na kogo czekasz?
- Pan hrabia Jarski mnie zamówił.
- Dokąd jedzie?
- Nie wiem, gdzieś na wieś pojedziemy, na kilka mil z miasta.

Zyberg uśmiechnął się zlekka. Domyślił się, dokąd zamierzał jechać Jarski. I dla naszych czytelników nie będzie to zagadką. Dzień, w którym zamyślał Zyberg zrobić niespodziewaną wizytę Jarskiemu, był właśnie owym dniem żądanej przez Oktawa schadzki, którego przebieg opisaliśmy w poprzednim rozdziale. Z surową miną i kręcąc swój wąs biały, udał się Zyberg na pierwsze piętro, gdzie mieszkał Oktaw. W przedpokoju zastał lokaja w świetnej liberji.

— Pan hrabia w domu?

Lokaj zmierzył gościa od stóp do głowy i poczytując go może za jakiego niecierpliwego rzemieślnika, bo kapitan ubrany był w szaraczkową swą kapotę, chciał już dać jedną z zwykłych w takich razach odpowiedzi, gdy spotkawszy się z groźnym i imponującymi, wzrokiem kapitana, spuścił z tonu i odpowiedział z zakłopotaniem:

— Jaśnie pan w domu, ale na wyjezdnem, nie wiem czy przyjmuje... pójdę się dowiedzieć...

— Niepotrzeba... — odparł krótko Zyberg i odsuwając na bok lokaja, poszedł wprost do pokoju.

Jarski ubrany był po podróznemu i właśnie miał wychodzić z pokoju. Zobaczywszy niezameldowanego gościa stanął i niechętnie spojrzał na kapitana, niezdejmując nawet kapelusza, który już miał na głowie.

— Przepraszam — rzekł Oktaw szorstko — ale czy nie powiedział panu lokaj, że wyjeżdżam natychmiast i że ani pół minuty stracić nie mogę?

— Słyszałem o tem, ale...

— Ale?... — zapytał tonem niegrzecznym i aroganckim zniecierpliwiony Jarski.

— Ale ponieważ pan nie pojedziesz — odparł z spokojnym naciskiem Zyberg — więc nie będę przeszkadzał panu.

Oktaw spojrzął z gniewem i z zdziwieniem na swego nieproszonego gościa. Posunął

się ku drzwiom do przedpokoju i zawołał głośno:

— Czy fjakier czeka!?

— Czeka, jaśnie panie! — odpowiedział lokaj.

— Jeżeli czeka — wmięszął się teraz tonem stanowczym Zyberg — to go odpraw!

Rozumiesz! Niech jedzie do domu, pan hrabia zostanie!

I zamykając drzwi do przedpokoju, przystąpił bliżej do Jarskiego i rzekł:

— Jestem kapitan Zyberg i przybywam właśnie ztamtąd, dokąd ty chciałeś jechać,

mój panie! Proszę mi wierzyć, w Zbrojnej nikt cię nie oczekuje!

Jarski z najwyższem zdumieniem a prawie z przestraczem spojrzął na kapitana i

cofnął się mimowolnie.

— Proszę zostać — mówił dalej Zyberg, mierząc ciągle surowym wzrokiem Jarskiego

— i proszę się rozbierać, a radzę zacząć od kapelusza...

Jarski machinalnie zdjął kapelusz, ale tak był pomieszany, że przez chwilę do

słowa przyjść nie mógł.

— Mój panie — rzekł nareszcie, ale niepewnym głosem — nie mam przyjemności znać

pana, pierwszy raz słyszę nazwisko pańskie, i nie pojmuję, co to wszystko znaczy

?

— Mój panie — odparł silnym i powolnym tonem Zyberg — nie mam także przyjemności

znać pana, pierwszy raz czytałem wczoraj jego nazwisko tuż obok
damy, która
takiego sąsiedztwa pewnie sobie nie życzyła a właśnie przychodzę się
zapytać, co
to znaczy?

Po twarzy Oktawa przebiegł żywy rumieniec, i natychmiast ustąpił
miejsca
śmiertelnej bladości.

— Nie rozumiem... — wyjąknął w najwyższym pomieszeniu, choć
słowa Zyberga były

dlań w przerażający sposób wyraźne.

— Wytłómaczę to panu bardzo jasno — odparł

surowo Zyberg, dobywając z kieszeni fatalny wexel. — Przypatrz się
pan temu

skrawkowi papieru! Dopuszciliście się haniebnego czynu, mój paniczu,
naraziłeś swoją

własną sławę i sławę niewinnej kobiety, rzuciłeś na brudną kartę
własny los i

szczęście twojej matki, splamiłeś imię twego ojca, któregom znał i
cenił wysoko,

panie Jarski! Słowa te uderzyły w Oktawa siłą, piorunu... Postać jego
złamała

się pod tym strasznym wyrzutem. Oparł się o ścianę, zakrył twarz
pochyloną

rękami i nic nie mówił. Kapitan chwilę patrzył na ten widok
młodzieńca, który

znalazł się po raz pierwszy w życiu w strasznym położeniu, oko w oko
z

sromotą...

— Co pan na to odpowiesz? — rzekł po chwili milczenia.

Jarski odkrył twarz swoją, która się zmieniła wyrazem nieopisanego
wzburzenia,

wyprostował się prawie dumnie, i postępując naprzód, zawołał:

— Odpowiem panu na to, żeś pan powiedział prawdę. Odpowiem
panu na to, że w tej

chwili czuję, że popełniłem czyn podły, lecz przysięgam panu, że dając się skłonić do tego postępu, za niewinny żart go prawie uważałem. Odpowiem ci dalej na to, panie kapitanie, że dług mój spłacę, tak jak się długi podobne płacą. Jesteś żołnierzem, panie Zyberg, więc otwarcie pomówię z tobą. Opuść mnie pan na chwilę, zostaw mnie samego, a nim zejdziesz ze schodów, uczynię, co mi jeszcze uczynić pozostaje! Tu Jarski ruchem dziwnie stanowczym choć przelotnym wskazał na pistolety, które leżały obok na stole.
— Wierzę ci, że uczyniłbyś to bez namysłu! —

odparł poważnie kapitan — bo wierzę ci, że twoja nierozwaga stanęła dziś przed tobą straszliwym upiorem! Ale to mój chłopcze zły sposób płacenia długów! Czy myślisz, że kula honoru salwuje? Wierzaj mi, młokosie, że znam się na prawidłach honoru, bo posiłkowałem w jego służbie i w posłuszeństwie jego prawom. Szczególny jest ten wasz kodex honorowy, wy nowożytni rycerze! Dziś mam wyobrażenie o tobie, żeś lekkomyślny chłopak i nic więcej, gdy sobie w łeb palniesz, pogardzać będę tobą, bo się okażesz złym człowiekiem, złym katolikiem, złym synem nareszcie. Nie płac długów i przewinień śmiercią, bo taka śmierć, to nowe oszustwo, ale płac je życiem twojem całym przyszłem! Jesteś młody i ledwie żyć zacząłeś, masz czas naprawić wszystko!

— Cóż mogę uczynić! — zawołał Jarski — cóż mi pozostaje innego nad samobójstwo.

Coś powiedział kapitanie, prawdą jest, ale czyż można przeżyć hańbę?

— O wy wyznawcy szlachetnej ambicji! — zawołał z gorzkim uśmiechem Zyberg —

odkąd się u was hańba zaczyna? Czyż nie zaczyna się ona z chwilą, kiedyś zły

postępek popełnił? Czyż nie zhańbiłeś się już wtedy!

— Ale nikt o hańbie mej nie wiedział! — szepnął Oktaw drżącym głosem.

— A tyś nie wiedział, panie Oktawie? Kto się siebie nie wstydzi, nie ma już

szlachetnego powodu wstydzić się drugich!

— Więc cóż pocznę, przez litość! — zawołał Jarski. — Sam widzisz, panie kapitanie, że jestem zgubio-

ujm! Przeklęty lichwiarz, zdradził mnie ohydnie! Kto panu dał ten wexel okropny?

Ona?

— Co za ona? — zapytał surowo Zyberg.

— Czy widziała go hrabina Rokicka?

— Nie widział go nikt prócz mnie! — rzekł Zyberg. — Powtarzam, nie widział go

nikt prócz mnie i nikt go widzieć nie będzie! Jestem starcem i umiem być

wyrozumiałym, straciłem przez podobny wypadek drogą mi osobę, i umiem mieć

litość! Nie przyszedłem się pastwić nad tobą, ale chciałem ci dać naukę.

Korzystaj z niej chłopcze, póki masz czas ku temu! Wexel wykupiłem od Saugera

sam, i nikt o nim nie wie, prócz mnie i jego. Ja będę milczał, a on musi

milczeć... Postarałem się o to...

Rzekłszy to, kapitan wziął wexel i podarł go w tysiąc drobnych kawałczyków.

Jarski stał niemy, osłupiały, i słówka przemówić nie mógł. Bładość twarzy tylko

i kurczowe drganie ust zdradzały, co się działo w jego piersiach...

— Zniszczyłem dowód twego występku — mówił dalej Zyberg — bo chcę, abyś to,

czego od ciebie teraz żądać będę, uczynił dobrowolnie i z szlachetnej powolności, a nie pod naciskiem przymusu i obawy.

— O szlachetny panie! — zawołał teraz Jarski z gwałtownym wybuchem szczęścia i

uchwycił za dłonie kapitana.

— Zniszczyłem dokument, który wykupiłem pożyczonym groszem, a wiedzieć musisz,

żem człowiek ubogi. Czy masz odwagę teraz w łeb sobie strzelić?

Nie, nie miałbyś tej niezaszczytnej odwagi. Posłuchajże teraz, czego żądam od ciebie.

— Rozkaż, kapitanie, wszystko uczynię!

— Weź pióro i papier, podyktuję ci list do matki Oktaw posłuszny jak dziecko

usiadł przy biurku. Powaga imponująca Zyberga, energja, która tchnęła

dziwną siłą z każdego słowa jego, a z pod której przecież przebijało się serce

szlachetne i wspaniałomyślne, sytuacja, w której kapitan stanął przed Oktawem,

wszystko to takie głębokie sprawiło wrażenie na Oktawie, że gotów był do

najmachinalniejszego posłuszeństwa, że czuł nieprzezwyjęzony jakiś wpływ

silniejszego charakteru nad sobą, że w końcu zadowolonym był z tego, iż jakaś

mocna dłoń kieruje nim jak niedołężnem, słabem dzieckiem...

Zyberg myślał przez krótką chwilę, a potem dyktować mu począł:

— "Najdroższa matko dobrodziejko!" To stary styl trochę,
nieprawdaż? Zapewne
pisywałeś dawniej "Chèremaman"? Proszę, zastosuj się tym razem do
starego, który
nigdy inaczej do swej matki nie pisał, nigdy w francuzkie czułości z
nią się
nie wdawał, ale, Bóg widzi, nigdy jej serca nie zasmucił.... Czy
napisałeś?

Oktaw potwierdził skinieniem głowy.

— Pokaż tedy Wasze, panie hrabio — rzekł Zyberg i rzuciwszy wzrok
na napisane
wyrazy, dodał: — Źle mój chłopcze, nie jesteś mężczyzną! Ręka ci
drży... patrz
jak to poznać po piśmie! Czy kochasz swoją matkę, panie Oktawie?
— Czy ją Kocham? — powtórzył Jarski z dziwnym

wzruszeniem, które dobroczynnie wpłynęło na jego rozpaczliwie
usposobiony umysł.

— W jednej z bitw, a byłem w niej — rzekł Zyberg — zostałem
silnie

zranionym w prawe ramię. Gdy mnie odniesiono do lazaretu, nie
dałem się pierwszej
opatrzyć, dopóki nie napisałem listu do mej matki. Wiedziałem, że go
oczekiwać

będzie w bolesnej niepewności. Chciałem tedy, aby wraz z wieścią o
bitwie,

otrzymała zaraz i wiadomość o mojem życiu. Nademną stał lekarz z
instrumentem,

którym miał mi wyciągać kulę. Czulem ból w ramieniu okropny, ręka
mi trętwiała,

a bałem się bardzo, aby po drżącym charakterze mego pisma matka
nie odgadła, że

ranny. Serce matki jasnowidzącem jest, panie Jarski... Wtedy
pomyślałem o tem,

jak ona mnie kocha, ta biedna matka moja, i jak ją srodze zasmuce,
jeśli

czemkolwiek zdradzę, żem ranny. Zebrałem całą siłę mego ducha i
napisałem list
tak silnym i pewnym duktem, 'jakiego nigdy nie miałem przedtem
przy zdrowej
ręce. Pisz pan, panie Oktawie: "Najdroższa matko dobrodziejko!"
Jarski chwilę siedział nieruchomy, a nagle posunął piórem i
podyktowane słowa
napisał ręką silną, wyraźną, energiczną.
— Brawo, mój chłopcze! — zawołał kapitan — teraz wierze, że to co
napiszesz,
będzie prawdą. Pisz tedy dalej.
I Zyberg znowu począł dyktować:
"Kilka ostatnich miesięcy mego życia przekonało mnie, że oboje,
kochana mammo,
łudził się co do łatwości świetnej kariery dla mnie. Myślałem do
nieda"

wna jeszcze, że dość jest nazywać się Jarskim, dość wywodzić się z
krwi
dostojnej i szlachetnej, błyszczeć pozornym szykiem i zgrabnie
figurować w
salonach, aby szczęście samo zleciało w moje ramiona. Szczęście
ślepe tylko
niedołężnych proteguje, a ty niechciałabyś mammo, aby twój syn był
niedołężnym
faworytem losu. Kazałaś mi być dumnym z moich przodków, matko
kochana, a ja nie
mógłbym wykonać tyle drogiego mi życzenia, gdybym ociągał się
jeszcze dłużej z
spojrzeniem życia w oczy, śmiało i mężnie, jak Jarskiemu przystoi.
Tobie wolno
marzyć, dla tego że mnie kochasz, mnie nie wolno iść za twoim
przykładem, także
dla tego, że cię Kocham. Nie będzie miał nigdy jutra, kto niema nigdy
"dzisiaj.

" Dla tego też powiedziałem sobie, dzisiaj rozpocznę inne życie,
dzisiaj wstąpię
na drogę jakiegokolwiek poważnego obowiązku, abyś ty droga matko,
mogła mi
kiedyś powiedzieć, że twoje marzenia były słuszne. Muszę przestać
się łudzić,
abyś Ty się rozczarować nie potrzebowała. Skłonności moje ciągną
mnie do stanu
wojskowego, a generał Rokicki dał mi przykład, że go mam pojmować
me jako
zabawkę, ale jako poważną, trudną rycerską naukę. Jutro wyjeżdżam,
a drugi list
otrzymasz odemnie z pułkowej stacji, której jeszcze nie mogę ci
wymienić.
Otrzymasz list od szeregowca, a stopień to bardzo zaszczytny, bo
pierwszym jest
do szlif jeneralskich. Proszę Cię o błogosławieństwo Twoje, moja
kochana mammo!"
Zyberg skończył dyktować.
— Czy podpiszesz ten list, panie Jarski? — zapytał.

— Już podpisałem! — odparł żywo i energicznie Oktaw.
— Na tem nie koniec — rzekł Zyberg — weź arkusz papieru i pisz
dalej.
Oktaw uczynił, czego kapitan żądał. Zyberg znowu począł dyktować.
— "Ja poniżej podpisany Oktaw hrabia na Ostrogradzie Jarski
pismem niniejszem
się zobowiązuję, potwierdzając słowa moje honorem szlacheckim, że w
tejże chwili,
w której tylko możliwem mi to będzie, wypłacę Wielebnemu księdzu
Andrzejowi
Pliszy, proboszczowi z Zbrojnej, sześć tysięcy zlr. na fundusz szpitala,
który
tenże czcigodny kapłan fundować zamysła, i że sumę tę uważam za
dług święty,

który uisćić jaknajrychlej będzie nieustannem i najszczerzem mojem staraniem. "

— Podpisz i w pieczęć twoją herbową opatrz! — dodał, skończywszy Zyberg, a gdy

mu Oktaw podał skrypt gotowy, kapitan schował go starannie i rzekł:

— Dziś jeszcze list wyślesz do matki, nieprawdaż, panie Oktawie?

Rokickiemu sam

powiem, co postanowiłeś z sobą, a pewnie go to ucieszy. A teraz żegnam cię,

mości hrabio!

I z dobrotliwym wyrazem na swej sędziwej twarzy podał rękę

Jarskiemu, który ją z

najwyższym szacunkiem i z wdzięcznem uniesieniem uściskał.

Wróciwszy od Jarskiego, Zyberg natychmiast siadł na wózek i

pojechał do domu. Z

oczów jego poczci-

wych przebijało się zadowolenie, jak zawsze po dobrym uczynku. Na chwilę tylko

posmutniała mu twarz, gdy szepnął sam do siebie:

— Biedny Antoni! Nie mogło się i z nim tak skończyć!...

VIII.

AKT UROCZYSTY.

Zyberg powrócił późno już w nocy do Drużkowa. Jakkolwiek tedy pragnął widzieć

się jaknajprędzej z hrabiną Adela, odłożył wizytę swą na jutro. Z

tajemniczej

wycieczki swój nie zdawał nikomu sprawy, choć go z ciekawością

pytano o to w

kole rodzinnem. Wszystkie pytania zbył wzmianką, że miał ważne

interesa

administracyjne, które ani chwili zwłoki nie cierpiały.
Nazajutrz dobrze jeszcze przed południem Zyberg jak zazwyczaj,
siadł na konia i
pojechał do Zbrojnej Przed samym dworem dowiedział się, od
jednego z domowników,
że hrabia wczoraj powrócił, że hrabiny nie zastał w pokojach i że
długo jej
wśród najrozmaitszych obaw szukano, nim ją znaleziono zemdlałą w
parku.
— Dzisiaj pani hrabina słaba, a doktor, którego jeszcze w nocy
przywieziono,
dotąd nie odjechał — kończył sprawozdawca — a pan generał właśnie
teraz w srogim
gniewie toczy o coś indagację, ze służbą, która wczoraj była na
pokojach.

Zyberg usłyszawszy te wiadomości, widocznie się zakłopotał. Ruszył
niecierpliwie
konia i wjechał na podwórze.
— Musiało coś złego zająć — mruknął do siebie. Miałżeby generał
wiedzieć już o
wszystkiem! W każdym razie w sam czas przybywam, bo będę tu
potrzebnym. Ten
szaleniec Rokicki gotów wszystko popsuć!
Wchodząc na schody, zapytał przechodzącą, pokojową, jak się ma
hrabina i
otrzymał zupełnie zaspokajającą odpowiedź. Hrabina Adela nie była
już chorą.
Zemdlenie jej musiało być jakimś chwilowym, przelotnym atakiem,
który pozostawił
po sobie jedynie lekkie osłabienie. Spokojniejszy nieco, Zyberg
wszedł do
gabinetu Rokickiego.
Zastał tu scenę gwałtowną, i niespodziewaną. Przed drzwiami stało
kilku lokajów,

obok nich marszałek i sekretarz, a generał w najwyższym gniewie
chodził po
pokoju. Twarz jego była okrytą ciemnym rumieńcem, a z pod
najeżonych brwi
strzelały groźne spojrzenia...
Zyberg zanadto dobrze znał generała, aby nie poznać, że znajduje się
on w jednym
z tych namiętnych wybuchów, które zdarzały się rzadko, które jednak
bywały
straszliwe. Zyberg zbliżył się do hrabiego i witając go, podał mu dłoń.
Generał
cofnął się niechętnie i począł dalej mierzyć pokój gwałtownym
krokiem.
— Co się tu stało, generale? — zapytał Zyberg spokojnie, biorąc za
ramię
Rokickiego, jakby go chciał umiarkować i uspokoić.
— Co tu się stało! — zawołał groźnym głosem

generał — co się stało? Pan mnie o to pytasz, panie Zyberg! Co się
stało? Oto
mam liczną służbę, która dozwala, aby moja żona leżała bez pomocy
w omdleniu
przez godzinę całą pod gołym niebem, — która na to jest tylko, aby
mnie
kradziono najzuchwalej!
Tu generał wskazał na żelazną kasę, której drzwi były szeroko
otwarte.
— Dowcipny złodziej! — wołał dalej — liczył na moją, pamięć słabą!
Ukradziono
sześć tysięcy; co za łaska, że nie wszystko! Kradniecie mnie
bezczelnie,
kradniecie mnie wszyscy, ale potrafię temu położyć koniec!
— Generale — rzekł żywo Zyberg — oprócz nich jestem ja tu jeszcze.
Zapominasz
się, i mówisz w gniewie do wszystkich!

— Do wszystkich mówię, do wszystkich! — zawołał w najwyższej furji Rokicki — i
wiem co mówię, mój mości kapitanie! A teraz precz ztąd wszyscy!
Wszyscy wyszli ale Zyberg został. Zbladł jak ściana, a twarz jego przybrała
wyraz straszny od oburzenia.
— Jenerale! — rzekł tłumiąc głos gwałtownie — nie wiesz co mówisz, a jeżeli
wiesz, to jeden z tych wszystkich odpowie ci, że kłamiesz!
Rzekłszy to kapitan, zwrócił się ku drzwiom i opuścił pokój.
Znalazłszy się na korytarzu Zyberg stanął, jakby mu się w głowie zawróciło.
Położył dłoń do czoła potarł je, jak we śnie. Stał kilka chwil na miejscu, chcąc
uspokoić burzę, która zawrzała mu w piersiach.

Dwie łzy spłynęły mu na siwe włosy... Kapitan otarł je szybko i szepnął:
— Po trzydziestu latach przyjaźni!! Dobrze, panie hrabio, rozstaniemy się, ale
jako Bóg żywy na niebie!! nie bez pożegnania!
I drżąca dłoń Zyberga ścisnęła się groźnie, a z oczu strzeliło spojrzenie pełne
szlachetnego gniewu...
Uspokoiwszy się nieco Zyberg, nie zszedł na dół po schodach, ale zwrócił się w
przeciwną stronę korytarza i rzekł lokajowi:
— Muszę się koniecznie widzieć z panią. Czy wstała?
Odpowiedziano mu, że hrabina czując się już zupełnie zdrową, wstała.
W tej
chwili jednak gdy lokaj chciał go zapowiedzieć, ukazała się w przedpokoju sama
hrabina Adela...
Piękna hrabina szczególnie przedstawiała widok. Zdawała się być w najwyższem

wzburzeniu i przestachu. Była nadzwyczaj bladą i drżała
gwałtownie... Ujrzawszy
Zyberga, pochwyciła go z gorączkową niecierpliwością za rękę i
pociągnęła go za
sobą, do dalszego pokoju.
— Panie kapitanie, drogi panie kapitanie! — zawołała głosem
pomieszonym i pełnym
lęku — ja wszystko słyszałam, co tam zaszło między wami! Kapitanie
miej
litości... jam temu winna! Boże mój! w jakimże jestem położeniu!!
— Pani hrabino I — ozwał się Zyberg wysuwając rękę z dłoni Adeli
— nie o tem
chciałem mówić. Jest to rzecz między mną a panem generałem.
Zupełnie

iuna sprawa mnie tu sprowadza, a ponieważ stopa moja po raz ostatni
stoi w tych
progach, chciałem ją natychmiast załatwić. Mam powody domyślać
się, że
lekkomyślny krok pewnego młodego człowieka zaniepokoił panią
mocno. Przychodzę
uwiadomić panią, że nie ma już żadnych powodów do obawy.
Wracam ze Lwowa. Cała
rzecz już stanowczo załatwiona, a honor lekkomyślnego młodzika
uratowany...
Rzekłszy to, Zyberg uklonił się zimno hrabinie i szybko wyszedł.
Słowa kapitana
pomieszały tak dalece Adelę, że chwilę stała jak bez przytomności.
Ocknąwszy
się nagle, chciała zatrzymać kapitana, i chciała wybiedz za nim i
prosić, by się
wrócił, ale Zyberg zbiegłszy szybko na podwórze, wspinał się już
wtenczas na
konia.
Adela wróciła do swego gabinetu pomieszana i zatrwożona. Zyberg
przyniósł jej

wiadomość pomyślną, uspokajającą; ale już to samo, że kapitan wiedział o wszystkim, przyczyniało się do tego, aby] położenie jej zrobić nieznośnem.
Grzeczność Zyberga wydała się jej zimną a nawet pogardliwą. Myśl ta bolała ją
tem bardziej, że po tem, co się dowiedziała od Zyberga, domyśleć się mogła
łatwo, że szlachetny ten człowiek w zatarciu śladów lekkomyślności Oktawa i w
zażegnaniu burzy grożącej głośny miał udział a nawet wyłączną zasługę...
Ileż cierpieć musiała trwogi, niepokoju, wyrzutów, piękna hrabina, jeżeli
zważymy, że przed chwilą była mimowolnym świadkiem sceny gwałtownej, która
zaszła między jenerałem a Zybergiem! Kiedy jenerał odkryw-

szy brak pieniędzy zwołał swoją służbę" hrabina znajdowała się w pokoju
sąsiednim gabinetowi męża. Słyszała wszystko, co zaszło między kapitanem a
Rokickim.
Całego tego złowrogiego zajścia była ona sama jedyną, przyczyną...
Gdy słyszała
gwałtowny, groźny krzyk swego męża, czuła, jak się jej krew ścina w całym
ciele... Siedziała jak na torturach... Obelga, rzucona przez jenerała Zybergowi,
groźna odpowiedź śmiertelnie obrażonego starca, przewidywanie zajść dalszych —
wszystko to w rozpacz najwyższą wprawilo hrabinę...
Widziała, jak za jej własny czyn cierpiało całe grono niewinnych ludzi, jak
stała się przyczyną haniebną obelgi, której się w szalonym uniesieniu dopuścił

w obec szlachetnego weterana Rokicki... Wszystko to napawało ją
zgrozą i lękiem
nieopisanym... W pierwszym natchnieniu rozpaczy Adela chciała
wybiedz do
gabinetu męża, rzucić mu się do kolan i wyznaniem własnej winy
osłonić
niewinnych przed jego szalonym gniewem. Ale de wykonania tego
zamiaru brakło
hrabinie odwagi...
Ledwie usłyszała kroki wybiegającego od męża Zyberga, pospieszyła,
aby go
zatrzymać, aby mu wyjaśnić wszystko i przez litość prosić o
wyzrozumienie. Znała
zanadto dobrze swego męża, aby niewątpić, że żałować będzie swego
uniesienia.
Choć generał był skąpym aż do słabości, a straty materialne nawet
małe
obchodziły go mocno, przecież powodem tego gwałtownego wybuchu
nie było
zniknięcie małej stosunkowo sumy. Generał, jak już wiemy, był od
dłuższego czasu
z powodu niemiłej sytuacji domowej w ciągłym rozdrażnieniu, cha-

rakter jego potrzebował namiętnego wybuchu, a powód ostatni dał do
niego odkryty
brak pieniędzy.
Adela rozważała to wszystko. Usiłowała nadać ład swoim myślom,
uspokoić się
nieco, i zastanowić się nad tem, jakby wszystko naprawić. Słowa
Zyberga
uspokoiły ją co do Oktawa i dalszych konsekwencji jego płochego
kroku. Chodziło
teraz o przebłaganie Zyberga i o uspokojenie generała.
Przedewszystkiem zaś
potrzeba było wyjaśnić generałowi zagadkowy ubytek pieniędzy.

Cóż łatwiejszego, jak przyznać się do naruszenia kasy męża? Wszakże Adela była panią, ogromnej fortuny i rozporządzała wielkimi dochodami. Nie sześć ale sześćdziesiąt tysięcy mogło być każdej chwili do jej rozporządzenia, a jenerał ani słówkiem byłby się temu nie opierał. Nie szło tu zatem o drobną, stosunkowo sumę, ale o zbieg fatalny okoliczności, które oplatały formalnemi sieciami hrabinę, i to, co wśród innych stosunków byłoby rzeczą zwyczajną, naturalną, drobną, , czyniły zadanie trudnem do spełnienia. Adela uspokoiwszy się nieco, rzekła sama do siebie: — Trzeba skończyć tę fatalną sprawę... Byłabym odłą, gdybym nie miała odwagi wyjaśnić wszystko mężowi, choćby to obudzić miało jego podejrzenia i sprowadzić odkrycia, przed którymi truchleję... Pójdę i polem otwarcie! Adela wstała z wyrazem stanowczej rezygnacji na rzy i zrobiła ruch w kierunku gabinetu mężowskiego. ile wstrzymała się...

— Lecz pocóż mara wyjaśnić mu wszystko?... — pytała siebie samej w myśli. — Czyż nie dość ukaranam została za winę, jeśli ją mam w obec męża, aby karę czynić jeszcze większą? On mnie tak kocha; wykrycie całego wypadku sprawiłoby mu przykrość głęboką, wzbudziłoby może namiętność jego, a wtenczas... Hrabina nie dokończyła. Uczuła lekkie drżenie na myśl, jakie gwałtowne wrażenie sprawiłaby na jenerale wiadomość o lekkomyślnym kroku Oktawa, ile nowych podejrzeń wzniciłoby to w jego umyśle!

— Jak to? czyż nie znajdę sposobu wytlómaczenia całej historii w zręczny. sposób
? — pomyślała znowu Adela. — Pójdę do niego i pomówię z nim tak, jak nieraz
robiłam to, gdy chodziło o uspokojenie jego burzliwych uniesień i podejrzeń.
Rozbroję go mym uśmiechem wesołym, moją swobodą, kilku słowami czułymi i pustymi
zarazem...
I jakby chciała przygotować postać swą do tej wyprawy, Adela przystąpiła do
zwierciadła i poczęła się w niem przeglądać...
Była blada, wzruszona jeszcze, ale była zawsze piękną. Oczy nieco zapadłe i
przymglone, wyraz nerwowego znużenia na twarzy i uśmiech, który mimo na; lepszej
woli hrabiny, gasł na pobladyłych ustach — wszystko to mogło pójść na karb
chorobliwego stanu i tego ataku mdłości, którego doznała wczoraj w ogrodzie...
Hrabina sięgnęła ręką do wazonu z świeżymi kwiatami i biorąc białą kamelję,
ozdobiła nią swe bogate, bujne włosy, których nieład dodawał pięknej twarzyczce

osobnego, dziwnego jakiegoś uroku. Gdy się nachyliła bliżej do zwierciadła, aby
przytkwić jak najlepiej kwiat kamelji — uderzyło ją, nagle spostrzeżenie, nowe,
niespodziewane i dziwne...
Na czarnem, przepyszcznem tle pukłów błysnęło coś jakby nitki jasne, srebrzyste...
Miałóż to być złudzenie oka?... Adela przechyliła się jeszcze bliżej ku zwierciadłu...
Nie! to nie była omyłka wzroku... Białe srebrzyste nitki ciągnęły się najwyraźniej przez sploty pięknych włosów...

— A!... Posiwiałam!.. — szepnęła Adela z dziwnym uśmiechem. Szybko rozplotła swe włosy i spuściła je na dół. Bujną, przepyszną osłoną spłynęły piękne włosy hrabiny po ramionach. Adela wzięła je do rąk i przyglądnęła się im uważnie... Wprawdzie nie liczne jeszcze, ale wyraźne, znaczne, widoczne siwe włosy!... Odkrycie pierwszych siwych włosów musi stanowić epokę w życiu pięknej kobiety... Po tych srebrnych niciach myśl i uczucia jej przesuwają się do zupełnie nowego świata... Hrabina zamyśliła się na chwilę, ale na pięknej jej twarzy nie znać było przykrego wrażenia. Twarz ta, która dziś była jeszcze wyrazistszą i nadobniejszą niż kiedykolwiek, spoważniała tylko i okryła się piękną, szlachetną zadumą... Znowu uśmiech łagodny, na pół rzewny na pół żartobliwy przewinał się po ustach Adeli... W tej chwili drzwi się rozwarły i do pokoju wszedł generał.

Spokojny był ale smutny i niezadowolony. Snać po gwałtownym wybuchu nastąpiła reakcja, i generał zdawał się, wstydzic i żałować ubiegłej chwili. Przystąpił bliżej i zapytał łagodnie:
— Tyś już wstała! Jakże się teraz czujesz Adelo?
— O, całkiem już dobrze! — odparła z wesołym uśmiechem hrabina.
— Ale nie mogłeś przyjść w lepszą porę, mój drogi! Najpierw, aby nie zapomnieć... les bons comptes font de bons amis... zwracam ci niepotrzebnie wzięte pieniądze, bo może nie wiesz, że złupiłam wczoraj twoją kasę...

— Ty, Adelko! — zawołał generał i twarz okryła mu się żywym rumieńcem.

— Ja, mój drogi... — odparła z zupełnym spokojem hrabina — potrzeba mi było sześćset reńskich, a zamiast sześć assygnat po sto, wzięłam sześć po tysiąc.

Dobrze, że się spostrzegłam, bo właśnie miałam je wysłać...

I hrabina wydobyła z swej toalety noty bankowe, które podała hrabiemu.

Rokicki stał milcząc i w dziwnie niemiłym pomieszaniu...

— Widzisz, ubrać się w co nie mam.. Potrzebuję kompletnie nowej garderoby... Ta,

którą mam, to garderoba dla młodej kobiety...

Rokicki spojrział pytająco i zdziwionym wzrokiem na żonę.

— A ja, mój drogi — ciągnęła dalej hrabina z najpowabniejszym swym uśmiechem — a ja już się sta-

rzeję... Jestem już poważną, matroną, mon cher ami, tak! nie dziwuj się! Patrz,

mój kochany generale... widzisz te siwe włosy?...

I Adela przychylając swą głowę ku Rokickiemu, oparła skroń swoją o jego piersi,

a potem podnosząc twarz, nagle ucałowała usta męża z czułością...

— Widzisz, mon cher ami, jak odważną jestem kobietą... Przyszedł czas, kiedy już

nie liczę na siebie, ale tylko i tylko na twoją miłość! Czy kochasz mnie

jeszcze?...

Generał z uniesieniem przycisnął Adelę do piersi...

.....

Kapitan Zyberg tymczasem wracał do domu smutny, posepny i w najboleśniejszym

sposób rozjątrzony. Daremnie usiłował się uspokoić. Obelga doznana paliła go jak

ogień, serce przejmował żal; a gdyby nie gniew szlachetny, stary
żołnierz byłby
może płakał, jak dziecko. Nic tak nie boli, jak sroga krzywda
wyrządzona przez
przyjaciół najbliższych, zwłaszcza, jeśli ci przyjaciele zajmują
stanowisko
wyższe w społeczeństwie. Krzywda doznana od tych, których się
kochało, jest
jedną z najcięższych ciosów, jakie zakrwawić mogą serca szlachetne,
a obelga
rzucona przez człowieka, któremu losy dały wyższe znaczenie w
społeczeństwie,
bardziej może obraża zacząć duszę, niż uchybienie od równego...
Kto kiedykolwiek doświadczał, jakim dziwnie dręczącym
cierpieniem okupić trzeba
każdy nagły przewrót w uczuciach, jak to trudno i boleśnie
nienawidzić osobę,
którą się przed chwilą kochało, wyrywać z serca imię, które się gdzieś
na
najgłębszem jego dnie wpisało —

ten zrozumie stan biednego Zyberga!... Cóż dopiero, gdy do tego
wszystkiego
przyłączy się najdelikatniejsze uczucie honoru, i duma osobista tak
wygórowana,
jak u Zyberga!
Koń sam sobie pozostawiony zaniósł kapitana do Drużkowa. Zyberg
ocknął się z
przykrego zamyślenia dopiero wtedy, gdy go doszedł wesoły krzyk
dwojga pięknych
dzieci, jego wnucząt, które radośnie biegły z podwórza na powitanie
kapitana.
Nie uśmiechnął się tym razem starzec do ukochanych dzieci, których
pogodna
wesołość tworzyła kontrast do jego smutku. Wszedł milcząc do domu
i jakby się

bał zdradzić z swym frasunkiem przed rodziną, schował się do swego pokoiku.

Uspokoiwszy się nareszcie do tego stopnia, że mógł jaśniej myśleć o tem, co mu

po tak ciężkiej, doznanej obeldze czynić wypada, Zyberg zawołał do siebie swego

siostrzeńca, któremu jak wiemy oddał Drużków, odstąpiony mu przez Rokickiego.

Siostrzeniec kapitana, człowiek młody jeszcze i pięknych rysów, typ prawdziwy

dzielnego wiejskiego szlachcica, pospieszył natychmiast do wuja.

Zdziwił się

bardzo, gdy zastał Zyberga przebranego zupełnie, w stroju, którego kapitan

używał tylko przy uroczystych sposobnościach. Kapitan miał na sobie czarną

czamarękę i wstążeczkę legji honorowej. Skoro tylko ujrzał

siostrzeńca, zamknął

drzwi od pokoju na klucz i rzekł poważnym i spokojnym już głosem:

— Kochany Michale, bardzo ważne i smutne mam dla ciebie wiadomości. Jesteś

jednak mężczyzną i kochasz mnie; wiem tedy, że przyjmiesz je spokojnie...

Michał z niepokojeni spojrział na staruszka, ale nim zdołał coś odpowiedzieć,

Zyberg mówił dalej, patrząc mu w oczy silnym wzrokiem:

— Czyż prawda, drogi synu, że cenisz honor twego wuja, tak jak swój własny, a

własny cenisz wyżej nad wszystko ?

— Tak jest! wuju drogi — odparł tonem pewnym Michał — tak mnie wychowałeś i w

tych zasadach umrzeć się. spodziewam.

— Nie wątpiłem nigdy o tem, mój drogi, biedny Michale — rzekł Zyberg — i dla

tego bez dalszego wstępu się zapytuję: Gdybyś wiedział, że pobyt w Drużkowie

uwłacza mocno honorowi twego wuja. w jakim przeciągu czasu starałbyś się go opuścić?

— Opuściłbym go jutro, dziś, zaraz! — zawołał pan Michał. — Ale pozwól wujowi, że zapytam, co się stało?

— Stało się nieszczęście ! — odparł Zyberg mocno wzruszonym głosem. — Palec Boży mnie dotknął. Snać przed śmiercią miałem doczekać się jeszcze jednej wielkiej

boleści, jeszcze jednego gorzkiego doświadczenia. Spotkała mnie ciężka,

śmiertelna obelga ze strony człowieka, którego Bóg widzi, kochałem jak brata, bardziej, silniej jak brata!

— Jakto ! miałże generał Rokicki obrazić tak ciężko wujowi! — zawołał pan Michał z żywym współczuciem i oburzeniem. — Jak to się stało?

— Nie mówmy o tem. Wiesz, że, była obelga, nie żądaj, bym powtarzał jaka. Cała

ta sprawa między mną a generałem zostanie. Z nas dwóch żaden o niej za

trzy dni już nie wspomni, bo jeden nie zechce a drugi aż przed sądem Bożym się odezwie...

— Wujowi, zlituj się, czyż chciałbyś!...

— Ani słówka o tem! — przerwał kapitan. — Znasz mnie i dziwić się nie powinienes

temu, co się dalej stanie. A teraz wracam do interesów. Primo: żądam od ciebie

Michale, abyś nic o tem nie mówił żonie twojej, aż się sprawa rozstrzygnie!

Chciałbym, aby pozajutro, w dzień, który jak wiesz od tylu lat wesoło spędzać przywykliśmy, nie znać było na nikim w domu smutku i strapienia.
— Tak jest — wtrącił p. Michał — pojutrze urodziny twoje, wuju...
— Proszę cię, niech się odbęda, jak zwykle, w gronie naszych przyjaciół i sąsiadów. Do pozajutra może nie dojdzie ich jeszcze wieść o mojem zejściu z jenerałem. Secundo: oblicz się dokładnie, w ilu tygodniach możesz porzucić Drużków, nie narażając się na straty ogromne.
— Zbioru się wyrzeknę — odparł Michał — a za dwa tygodnie obmyślę pierwsze miejsce schronienia dla nas wszystkich.
— Biedny, poczciwy chłopcze! — zawołał Zyberg, ściskając serdecznie swego siostrzeńca. — Ty najgorzej na tem ucierpisz! Sprowadziłem cię do Drużkowa z dzierżawy, na której już dorabiać się zacząłeś, włożyłeś tu znaczny fundusz, który Bóg wić czy uratujesz, i nie będziesz wiedział, gdzie się schronić tymczasowo z żoną i z dziatkami! Ale jam temu nie winien, jam

temu nie winien, Michale, Bóg to widzi! i Bóg mnie osądzi!
— Bądź spokojny, wuju! — rzekł p. Michał — znajdziemy gdzieś kąt i kawał ziemi, a przy pracy chleb się znajdzie. Wszakżem ja ci wszystko winien, co posiadam, wuju!
— Dziękuję ci za twoje serce, mój ty poczciwy synu — odezwał się Zyberg. —
Siadajże natychmiast i napisz do jenerała grzecznie i stanowczo, że za dwa tygodnie Drużków będzie do jego dyspozycji. A teraz żegnam cię, bo jadę i wrócę

aż wieczór zapewne.

Rozstawszy się z swym siostrzeńcem, Zyberg kazał natychmiast zaprządz konie i

kazał się wieść do Zarady, wsi, w której mieszkał jeden z dawnych jego

znajomych, niegdyś także towarzysz broni, hrabia Henryk Ogrodzki.

Hrabia był w

domu i serdecznie powitał gościa.

— A mój ty kapitanie! — zawołał — przecież przypomniłeś sobie starego

przyjaciela! Wybrałeś sobie jednego faworyta Rokickiego, i dla niego o innych

zapominasz! Ej! Zyberg, Zyberg! czy to się godzi!

— Masz rację kolego! — odparł Zyberg — i dziś bardziej się tego wstydzę, niż

kiedykolwiek, bo przyjechałem do ciebie z prośbą wielką.

— Zyberg w Zawadzie! i Zyberg z prośbą! Zyberg, który o coś prosi!! to podwójny

rarytas, to kruk biały! Ale mówże, mów, jestem cały na usługi!

— Hrabio! — rzekł Zyberg z naciskiem uroczystym — przybywam cię prosić o

największą przysługę, jakiej tylko wymagać może oficer od oficera, przyjaciel

od przyjaciela, szlachcic od szlachcica! Przybywam cię prosić, abys raczył

przyjąć w opiekę mój honor! W lepsze ręce złożyć go nie mogę!

— A tam co się stało u licha! — zawołał hrabia Ogrodzki. — Służę ci kapitanie

całym sercem!

— Doznałem obelgi, której płazem puścić nie mogę! Doznałem jej od człowieka,

któremu dotąd najwierniejszym byłem przyjacielem!

— On ne se bat qu'avec des amis! mój drogi to stara reguła! Mów, kto cię

obraził?

— Jenerał Rokicki! — odparł Zyberg i tu powiedział całe zajście w gabinecie jenerała.

— Hrabia słuchał z widocznym oburzeniem, a gdy Zyberg skończył, zawołał:

— Rokicki uczynić to mógł tylko w jakimś wściekłym szale! Jestem pewny, że się sam przed sobą teraz rumieni i że żałuje tak niegodnego czynu! Ale to ciebie nie

obchodzi, kapitanie. To rzecz nie nasza. Pomówimy z tą Excellencją!

— Proszę cię tedy hrabio — rzekł Zyberg — abyś się zechciał dziś jeszcze

porozumieć z panem Marcinem Strzemińskim, którego proszę na drugiego świadka i

do którego zaraz od ciebie jadę...

— Pojadę z tobą.

— Zaraz jutro wyzwiecie jenerała. Nie potrzebuję wam mówić, że tu nie o głupią

ceremonje idzie. Wiem, jak się zapatrujesz na pojedynek. Jeżeli ma być nauką,

niech będzie straszną, jeżeli ma być satysfakcją, niechże będzie zupełną. Kiedy

się taki starzec jak ja, nad grobem stojący, chwyta takiego środka, to koście o

śmierć

zadają! Proponuję pistolety gwintowane, dystans najmniejszy, i wymawiam trzy

strzały. Obaj zanadto dotrze strzelamy, aby nie wystarczyły!

Po krótkiej rozmowie o rozmaitych pomniejszych szczegółach hrabia Henryk siadł

do powozu kapitana pojechali razem do p. Strzemińskiego. aby go prosić a

drugiego świadka.

Przygotowania szły szybko, tak jak tego Zyberg silnie żądał, gdyż zaraz na drugi

dzień około południa r. Henryk Ogrodzki i p. Marcin Strzemiński
przybyli o
Zbrojnej i kazali oświadczyć generałowi, że pragną się z nim widzieć
w sprawie
pilnej i niecierpiącej zwłoki. Rokicki kazał natychmiast prosić gości.
Obaj
panowie, przybywający z kartelem, byli typami poważnej marsowej
postaci. Ci dwaj
osiwiali weterani, ozdobieni krzyżami, ubrani w strój etykietalny, z
wyrazem
uroczystym na twarzy, imponować umieli każdemu swym widokiem.
Znać było po nich.
że przejęci są ważnością swojej misji, że czują, całą grozę zadania,
które mieli
o spełnienia.
Generał po samym sposobie powitania, pełnym powagi i grzecznej
restrykcji,
domyślał się, że chodzi tu o sprawę jakąś nadzwyczajną. Gdy ich
powitał grzeczne
i usiąść prosił, zabrał głos hrabia Henryk:
— Excellencjo! (tytuł ten należał się Rokickiemu) - przybywamy tu w
misji
przykrew, której jednak podjąć się było naszym świętym obowiązkiem.
Przysłała nas
pan kapitan Zyberg z poleceniem, aby żądać od Waszej Excellencji
eksplikacji i
satysfakcji za doznaną wczoraj obelgę.

Generał wysłuchał tej apostrofy z miną, poważną, milczał chwilę, a
potem
odparł:

— Pan kapitan Zyberg ma wszelkie prawo domagać się satysfakcji, a
ja, jakkolwiek
nie jeden i nie dwa razy w życiu wzywany byłem do niej, nigdy
może nie czułem

się do niej tak obowiązany, jak w tej chwili. Tak, moi panowie,
wyznam
otwarcie, że wyrządziłem krzywdę panu Zybergowi, że wyrządziłem
ją, w sposób,
który nie da się ani uniewinnić ani wytłómaczyć. Nie namyślałam się
ani chwili,
czyli dać obrażonemu satysfakcję, ale nieustannie myślę nad tem, jaką
by wybrać
satysfakcję, aby ona zupełnie wystarczyć mogła panu Zybergowi,
którego zawsze
kocham jak brata, zawsze szanuję jak ojca!
— Słowa twoje Excellencjo są pełne szlachetności — odparł na to p.
Strzemiński —
ale my mamy mandat ściśle określony i nie wiemy, czyli
oświadczenie to mamy
uważać za powód do zwłoki w dalszych krokach.
— Proszę, nie chcecie panowie uważać ich za to — odpowiedział
generał — bo ich
w tym celu tu nie wypowiedziałem. Wyznanie własnej' winy nie
uszczuła praw
kapitana, choć dla mnie było obowiązkiem serca. Stawię się na
wezwanie p.
Zyberga.. Jutro zaraz będą panom służyć moi świadkowie, którzy
będą mieli
pełnomocnictwo przyjąć wszystko, co tylko strona przeciwna
zapropozować zechce.
Hrabia Henryk i pan Strzemiński powstali, a po kilku zwyczajnych
ceremonialnych
frazesach pożegnali generała.
Znalazłszy się sam w swym gabinecie, Rokicki po-

czął w smutnem zamyśleniu przechadzać się po pokoju, Przed godziną
otrzymał był
list od siostrzeńca Zyberga, ze Drużków za dwa tygodnie będzie
opuszczonym.

Nigdy może jeszcze w życiu nie żałował tak Rokicki chwili
zapomnienia, jak tym
razem. Jenerał był szlachetnym, a Zyberga kochał sercem całym i
uważał go zawsze
za najlepszego swego przyjaciela. W kilka minut po wczorajszym
gwałtownym
zajściu żałował już srodze swego postępuku. Całą noc nie zmrużył oka,
Czując
prawdziwą, zgryzotę i czyniąc sobie najsroźsze wyrzuty.
Teraz bił się z myślami, szukając środków do załatwienia całej tej tyle
przykrej
i bolesnej sprawy. Jakkolwiek uważał za słuszne wyzwanie
otrzymane, nie widział
jednak w pojedynku dobrego załatwienia rzeczy.
— Pojedynek nie wystarcza! — mówił sam do siebie jenerał. —
Pojedynek tu nic nie
pomoże! Kto do kogo będzie strzelał? Ha! gdybym wiedział, że
Zyberg naprawdę
będzie godził na moje życie, że będzie się starał ranić mnie lub zabić,
uważałbym pojedynek taki za dostateczną, satysfakcję! Ale wiem, ale
przysięgnę,
że Zyberg palić będzie w powietrze, a będzie czekał, aby go moja kula
ugodziła!
O znam go doskonale! Ale co on sobie o mnie myśli! Czy mniema, że
mierzyć będę
do niego ? a toż prędzej sam sobie w łeb bym wypalił! I cóż pomoże
taki
pojedynek! Ale rzeczy muszą iść zwykłym torem. Oglądnijmy się za
świadkami!
Jenerał zadzwonił na służbę i kazał zaprzędz ko-

nie. Zabierając się do wyjazdu, ciągle myślał i naradzał się z sobą.
Nagle,
jakby pod wpływem szczęśliwej jakiejś myśli, jenerał uśmiechnął się
do siebie i
szepnął:

— Wybornie się składa! Dam satysfakcję Zybergowi dobrowolnie, a potem się strzelać możemy. Niech mnie potem zabije ten poczciwy ludożerca, ale ja spełnię obowiązek sumienia.

I z weselszą już twarzą usiadł generał do powozu, każąc się wieźć do jednego z

znajomych swych w sąsiedztwie. Uprosiwszy sobie świadków do honorowej rozprawy,

generał powrócił pod wieczór do domu tak spokojny i wesoły, jakim go nigdy nikt

nie widział od owej sceny na balu u pani Atalji.

Nazajutrz po tych zajściach wielki był ruch w Drużkowie, w dworku Zyberga. Jak

wiemy był to dzień urodzin kapitana. Dzień to był uroczysty nietylko w

Drużkowie, ale w całym sąsiedztwie, wszyscy bowiem okoliczni obywatele spieszyli

z życzeniami swemi do kochanego i szanownego weterana. Dworek w Drużkowie nie

mógł wtedy prawie pomieścić gości, tyle ich zewsząd przybywało, i raz na rok

siedziba Zyberga wrzała życiem, wesołym gwarem, muzyką i wiwatami.

I tego roku dzień urodzin miał się święcić uroczyście i hucznie, chociaż dusza

solenizanta strapioną była i smutną, a sam festyn miał być tylko pożegnaniem

Drużkowa. Jak już wiemy, Zyberg uprosił swego siostrzeńca, aby nie zdradzał się

z zmartwieniem przed gośćmi, i aby każdy, kto tego dnia zawita do Drużkowa,

znalazł twarze pogodne, i pozorne bodaj wesele.

Zyberg wstał jak zwykle wcześnie, i przyjął czule powinszowania swej rodziny, a

potem pojechał zaraz do Zbrojnej, aby wysłuchać w kościele mszy świętej, którą
na jego intencję ksiądz Andrzej co rok w dniu tym odprawiał.
Po wysłuchaniu mszy świętej Zyberg zabrał z sobą księdza Andrzeja,
który miał
już tego dnia aż do późnej nocy pozostać gościem w Drużkowie. Po
obiedzie,
chcąc pofolgować strapionemu sercu, Zyberg wbrew postanowieniu
swemu wygadał się
ze wszystkim przed swym duchownym przyjacielem, przemilczając
tylko, że wyzwał
generała, pod tym bowiem względem żołnierz z świątobliwym
kapłanem nigdy by się
nie mógł być zgodzić. Wiadomości te srodze zasmuciły księdza
Andrzeja, i sędziwy
kapłan w rozrzewnieniu swem od płaczu wstrzymać się nie mógł.
Umiał on uznać
wielkość krzywdy, wyrządzonej przez generała Zybergowi. i nie
zaprzeczał mu
prawa do obrazy, ale niemniej przeto użył całej swej słodkiej
wymowy, aby serce
swego przyjaciela odwrócić od zawziętości.
— Bóg z nami, mój drogi bracie, Bóg z nami! — mówił przezacny ten
kapłan. —
Wszystko on ku dobremu skłoni! Ale nie daj zapanować namiętności
nad dobrem
sercem twojem, kochany kapitanie! Jesteś już starcem i znasz zanadto
ludzi, aby
nie być wyrozumiałym na ich błędy, jesteś katolikiem, i codziennie
prosisz Boga
o odpuszczenie win swoich, jako je odpuszczasz winowajcom swoim.
Bracie kochany,
ty znasz przecież Rokickiego, wiesz, że serce jego szlachetne jest i
zadne;
wiesz, że nie wierzy temu, co sam powiedział

w szalonym i szpetnym gniewie! Miałżebyś sumienie doprowadzać
rzeczy do
ostateczności, wypełniać wiecznym żalem duszę jenerała, który cię
kocha, i
zasmucać serce moje, w którego przyjaźń wierzysz przecie! Bóg z
nami! do tego
nie przyjdzie, ja tego niedopuszczę, jakem żyw, kapitanie,
niedopuszczę!
Ale kapitan głuchy był na słowa kanonika. Zżymał się, zatykał uszy,
gniewał się
nawet na serjo.
— Ani mi gadaj tego jegomość! — wołał impetycznie. — Jegomość
na tem się nie
rozumiesz! Dobrze ci tak mówić, boś święty, boś bez zółci, boś sługa
boży,
kanoniku; ale ze mną darmo, ja stary żołnierz jestem, i grzesznik
rogaty, a kto
mnie nogą potrąci, jeżem mu się nastawię, jakem Zyberg! Tyś ksiądz,
dla ciebie
pokora cnotą i dumą szlachetną, dla mnie ona w tym razie byłaby
hańbą!
Trzydzieści lat służyłem honorowi pod bronią, dziś stary i w odstawce
nie złamię
mu wierności i kwita! Tułałem się po świecie długie lata, różnie ze
mną bywało,
los mną młyńce wywracał po całej ziemi bożej; zdarzało się, że nic nie
miałem,
ani dobrej szmaty na grzbiecie, ani dachu nad głową, ani kęsa chleba
czarnego
dla posiłku, ale honor bez skazy pozostał. Sądź mnie, łaj mnie, strofuj
surowo,
ja się ' bić będę w piersi jak grzesznik, bo masz prawo karcić mnie
ostro, ale
to nie pomoże; i nie ustąpię, nie ustąpię, jakem Zyberg, kanoniku!
Ksiądz Andrzej umilkł, bo widział, że tym razem argumenta jego
pozostaną bez
wpływu, ale nie zraził się wcale. Postanowił sobie w duszy, że raráz
nazautrz

wszystkich możliwych środków użyje, aby pogodzić

tak gwałtownie powaśnionych przyjaciół. Nie było zresztą czasu do dalszych poufnych sporów, bo goście zaczęli się zjeżdżać do Drużkowa. Cała prawie szlachta okoliczna, od najmocniejszej aż do najuboższej, zjechała się powinszować szanownemu solenizantowi. Dworek Zyberga zaludnił się rojem gości, ale choć sam kapitan i rodzina jego siostrzeńca usiłowali ukryć smutek i ile sił stało przyczyniali się do utrzymania wesołości wśród liczego towarzystwa, przecież festyn urodzin Zyberga nie obiecywał być tak swobodnym i radosnym, jak zazwyczaj. Wieść o nieporozumieniach między Zybergiem a Rokickim miała już czas rozbiedz się po okolicy, a choć nikt nie miał odwagi zapytywać o to wprost solenizanta, szeptano sobie o tem po kątach i spoglądano badawczo na twarz gospodarza, który mimo pozornej wesołości wpadał od czasu do czasu w zadumę i roztargnienie.

Opuśćmy teraz na chwilę Drużków a przenieśmy się do pałacu jenerała w Zbrojnej.

Gdy rano dnia tego marszałek przyszedł po zwyczaju do jenerała po dyspozycję dzienną, Rokicki zaraz u wstępu zawołał!

— Czekam pana niecierpliwie. Mam na dziś wyjątkowe polecenia. Uważaj tedy Waszmość dobrze, co mówię. Zaraz o godzinie szóstej mam wyjechać, ale w gali zupełnej! Pamiętać mi tedy, aby o godzinie szóstej gotowa była karetka galowa

dworska, trzech lokai i strzelec w wielkiej liberji, i cztery konie w galowej uprząży. Wszystko ma być tak przygotowane, jakbym miał jechać na dwór monarszy, rozumiesz wasze? Marszałek skłonił się z zdziwieniem i odszedł

z rozkazami. Jenerał zadzwonił na swego kamerdynera i rozkazał: — Józefie! Po obiedzie wyjeżdżam, ale zmienię garderobę. Wybierzesz mi uniform galowy "grande tenue. " Podasz mi mundur ze wszystkim, co do tego należy. Szlify, epolety, wielka wstęga, wszystkie gwiazdy i ordery! Spiesz się, abym przy ubieraniu się na nic nie czekał! Po wydaniu tych dyspozycji jenerał pracował dłuższy czas w swym gabinecie, zjadł obiad w najlepszym humorze, a po obiedzie począł się ubierać. Niebawem znalazł się w przepysznym, lśniącym od złota mundurze jenerała, okrytym w wszystkie oznaki dostojenstwa. Wielka wstęga jednego z najznakomitszych orderów europejskich spływała po piersiach Rokickiego, a obok niej połyskiwały dwie gwiazdy komturowskie i kilka innych wysokich dekoracji. Gdy już był gotów, i że tak powiemy w całym majestacie swych zaszczytów, jenerał wsiadł do powozu, lśniącego od ozdób kosztownych. Dwóch lokajów w wielkiej liberji, z złocistemi akselbantami, stanęło w tyle, na kozioł skoczył strzelec w pełnym mundurze, a foryś puścił cztery przepyszne konie w bogatych i pysznych rzędach. Jenerał Rokicki wychylił się z karosy i zawołał:

— Do Drużkowa, do pana kapitana Zyberga!

W Drużkowie towarzystwo powoli ożywiać się poczęło i było już w komplecie, tak

że nikogo więcej się niespodziewano, gdy nagle odezwał się turkot na po-

dwórzu i przez okna skromnego dworku błysnęły złociste liberje.

— Jenerał! jenerał! — zawołało kilka głosów od razu, nie powstrzymując wcale zdziwienia.

Zyberg spojrział szybko przez okno a ujrzawszy istotnie karete jenerała, oblał

się ciemnym rumieńcem. Dziwne pomieszanie i zdumienie objawiały się na jego

twarzy. W tej chwili jednak się opamiętał i zawołał do siebie siostrzeńca.

— Spiesz go przywitać na progu! — szepnął — ja po tem, co zaszło, nie mogę, ale

ty możesz i jako gospodarz powinienes...

Pan Michał wybiegł szybko z pokoju, a kapitan cofnął się w kąt i usiłował

uspokoić się i ochłonać z wrażenia, o ile to było w jego mocy. Ksiądz kanonik

Plisza, snać obawiając się ze strony kapitana jakiego aktu rozdrażnienia lub

nawet gwałtowności, stanął koło niego jak anioł stróż i zapominając o liczmem

towarzystwie, z lekka palcami trzymał go za poły...

Tymczasem drzwi się rozwarły i do pokoju wszedł Rokicki.

Pojawienie się jego wywołało głębokie wrażenie na zgromadzonych.

Rozstąpili się

wszyscy z uszanowaniem i głęboka, uroczysta cisza zapanowała w całym

towarzystwie.

Postać jenerała, jeżeli w ogóle wzbudzała szacunek, to tym razem bardziej

jeszcze musiała imponować. Okryta wszystkimi oznakami
dostojsności, pełna
szlachetnej a dumnej powagi, była zjawiskiem godnym hołdu.
Rokicki uklonił się z lekka wszystkim zgromadzo-

nym i oglądając się do koła, szukając Zyberga. Ujrzawszy go w kącie,
postąpił ku
niemu.

Kapitan podszedł teraz naprzód, jakby na spotkanie hrabiego. Ksiądz
Plisza, z

wyrazem zabawnej trwogi na swej poczciwej twarzy, z wzrokiem
zwróconym baczenie
na każdy ruch Zyberga, szedł też za nim, wyciągając naprzód dłoń i
dotykając się
nią czamarki, jakby chciał mieć pewność, że każdej chwili ująć za
poły i
powstrzymać będzie mógł swego przyjaciela.

— Mości kapitanie! — ozwał się spokojnym ale dobitnym i
uroczystym głosem
jenerał.

Zyberg spojrział na Rokickiego i jakby widok jego pełnego uniformu
jeneralskiego

przypomniał mu czasy żołnierskie i przemówił do uczucia
subordynacji, postąpił

naprzód mierzonym krokiem, zatrzymał się i wyprostował jak przed
frontem przy

apelu. Tak stał nieruchomy, z oczyma spuszczone mi nieco ku ziemi, a
nieodstępny

ksiądz Plisza tuż za jego plecyma.

— Mości kapitanie Zyberg! — zaczął jenerał patrząc mu w oczy. —

Przybywam dziś

do ciebie, aby spełnić obowiązek honoru i sumienia, obowiązek
najważniejszy,

jaki spełnić może człowiek, co szanując cześć własną i cudzą za
świętą uważa!

Przybywam w dzień dzisiejszy, aby obowiązek ten spełnić w obec
licznego grona,
które biorę za świadka tego, co tu oświadczyć zamierzam.
— Panowie bracia — ciągnął dalej generał zwracając się do
towarzystwa — stoję
dzisiaj jako winowajca w obec pana Zyberga. Wina moja jest ciężką i
wymaga
publicznej satysfakcji. Pan kapitan Zyberg był

mi przez lat trzydzieści przyjacielem, bratem, towarzyszem broni,
obsypywał mnie
oznakami swej przyjaźni najczulszej i najwierniejszej, na którą
zasłużyć nie
umiałem i której odpłacić nigdy nie potrafię...
— Jenerale!... — szepnął Zyberg, który począł ulegać głębokiemu
rozrzewnieniu.
— Tego człowieka pełnego cnót i bezprzykładnej zacności, tego
przyjaciela,
brata, co więcej, śmiało to i głośno wyznaję, dobrodzieja mojego,
miałem
nieszczęście obrazić głęboko. Obraziłem go w chwili zapomnienia, w
brzydkim
przystępie gniewu, którego się wstydzę, którego żałuję, nad którym z
głębi serca
i z skruchą ubolewam! W obec was wszystkich, panowie i bracia,
proszę go dzisiaj
uroczyście, publicznie o przebaczenie, a biorę was za świadków, że
gdyby pan
Zyberg tego wymagał, na klęczkach nawet powtórzyłbym to błaganie!
Kapitanie, czy
mi przebaczasz?
Tego już było za wiele Zybergowi. Folgując gwałtownemu,
wezbranemu uczuciu,
poskoczył naprzód i ujął generała w swe ramiona z uniesieniem.
Wszyscy goście, silnie wzruszeni tą niezwykłą sceną, patrzyli z
najgłębszą czcią

na pojednanych przyjaciół. Ksiądz Plisza, nie mogąc się wstrzymać,
płakał jak
dziecko.

Kiedy Zyberg wypuścił już z serdecznych uścisków generała, ksiądz
kanonik Plisza

wystąpił naprzód i zawołał:

— Excellencjo! Oklask ludzi, hołdy świata tego i pochwały otaczały
cię zawsze,
miałeś ich do syta i nie pragniesz już ich więcej. Ale te łzy osiwiatego
kapłana,

którego widzisz przed sobą, i którego przepelniłeś wzruszeniem
najradośniejszym
dla chrześcijańskiego serca, i jego błogosławieństwo, nie mogą ci być
obojętne!

Nie wahałeś się spełnić czynu, którym Bóg raduje się w niebie!

Dostojnik wielki,

dygnitarz czcigodny najwyższych tego świata otoczony, nie wahałeś się
upokorzyć, aby

naprawić krzywdę wyrządzoną człowiekowi ubogiemu; magnat i
potomek wysokiego

rodu, nie wahałeś się dać wyraz tradycyjnemu szacunkowi dla
szlachectwa, choćby

ono w niższym ukrywało się stanie; okryty oznakami godności i
zaszczytów nie

wahałeś się wejść w progi ubogiego domu, jakbyś wstępował na
podwoje monarsze!

Piersz twoją zdobiją oznaki wielkich zaszczytów i wielkich zasług, ale
pod temi

gwiazdami brylantowemi, pod tą purpurową wstęgą, kryje się jeszcze
większe od

tych wszystkich zaszczytów serce!

Ledwie ksiądz kanonik skończył swoją przemowę, gdy p. Strzebiński
wzniosłszy

puhar do góry, zawołał:

— Mości panowie! Niech żyje generał Rokicki!

— Niech żyje generał! Niech żyje kapitan Zyberg! zawołano chórem serdecznym...

IX.

ZAKOŃCZENIE.

Jesteśmy znowu na balu u pani hrabiny Atalji. Rokiccy spędzali znowu zimę w stolicy; to też między gośćmi balu spotykamy generała i hrabinę Adelę. Piękna hrabina i teraz zwracała na siebie powszechną uwagę towarzystwa. Tym razem jednak przedstawiała ona już zupełnie inny typ kobiecy, niśli przeszłego roku. Bal dzisiejszy był dla Adeli pierwszą, że tak powiemy, inauguracją nowej epoki życia. Ubrana była z prostotą i w poważnym smaku matrony. Strojowi odpowiadał wyraz twarzy, na której się malowała pogodna powaga kobiety, która jeśli się jeszcze podoba, to bez własnej intencji i mimowolnie. Niechcąc się podobać, Adela podobała się przecież bardzo. Nie można sobie było wyobrazić piękniejszej, nadobniejszej matrony. Piękna jej twarzyczka dziwnie odbijała od bezpretensjonalnego stroju i od tej nieudanej, naturalnej powagi, która zdawała się być nowym wdziękiem dla niej. Przypominała królowę, której nie-

zdetronizowano, ale która abdykowała sama. Potrzebowała chcieć tylko, a mogła

być jeszcze i piękną i młodą..

Pod historycznym kaktusem spotykamy to samo straszliwe grono.

Były to te same

damy co pierwiej, tylko starsze, brzydsze i złośliwsze, niż były roku
przeszłego.

— Popatrz no na hrabinę Rokicką — szepnęła jedna z nich do swej
przyjaciołki —

ta kobieta stroi się w własną starość. Vraiment, hrabina uważa wiek
swoją za nowy

środek toalety, jest on dla niej tem, co nowa suknia lub nowe ubranie
głowy.

Patrz, ma chere, w jaką powagę stroi swoją minę, jak ona wie, que ça
lui donne

du relief...

Jeszcze nie skończyła złośliwa obserwatorka, gdy hrabina Adela z
uśmiechem

wesołym ale nieco ironicznym przystąpiła wprost pod kaktus i
wskazując na wolny

fotel, rzekła do małego grona:

— Widocznie miejsce, jakby na mnie czekało!... Proszę mnie przyjąć
do

towarzystwa...

W tej chwili ozwała się muzyka. Ktoś stanął przed Adelą z
zaproszeniem do tańca.

Adela odmówiła.

— Comment? Vous ne dansez pas? — zawołały chórem sąsiadki. —
Zapewne dziś tylko,

lub na chwilę wyjątkowo ?

— Nie tańczę wcale.

— Już chcesz przestać tańczyć, hrabino! — zawołały niby z
pochlebnyim zdziwieniem

damy z pod kaktusa.

— Nareszcie, a nie już przestałam tańczyć...

— Ah! ah!

— Jestem już staruszką moje panie — rzekła z wdzięcznym uśmiechem hrabina Adela

— kto nie wierzy, niech spojrzy... Już siwieję...

I pochylając na dół głowę, pokazała coraz znaczniejsze nici srebrne w swych pięknych włosach.

Na szczęście najbliższa sąsiadka była w posiadzeniu, że farbuje sobie włosy i

niedopuszczała do tego, aby czyniono jakiegokolwiek uwagi nad siwymi włosami hrabiny

Adeli. Poczęła szybko opowiadać jakąś ciekawą nowinę, z salonowej skandalicznej kroniki.

— Wiecie tedy! — wołała z minką politowania — ta biedna Helena! Porzuciła

najlepszego męża dla tego niegodziwego Henryka, a on tak szkaradnie się z nią, obszedł...

— Nic w tem dziwnego — ozwała się nagle Adela — tak zawsze bywa. Jest to zwykła

kolej losu i... może sprawiedliwa. Jamais un mari ne sera si bien vengé que par

l'amant de sa femme! — dodała z znaczącym naciskiem.

— Czy hrabina mówi z doświadczenia? — chciała się zapytać jedna z najzłośliwszych, najjadowitszych dam kaktusowych, ale przygryzła dość wcześnie

wargi i połknęła pierwotną redakcję zapytania, dodając jednak z wymownym

naciskiem:

— Vous avez raison, comtesse!

* * *

Na balu brakło jednego, niegdyś stałego gościa w salonie hrabiny Atalji, hrabiego Jarskiego.

Przez rok cały nie było o nim wieści. Wiedziano tylko, że wstąpił do wojska.

Pierwszą wiadomość o nim otrzymał — ksiądz kanonik Plisza z Drużkowa.

Odebrał list, w którym znajdowało się nie sześć, ale dziesięć tysięcy reńskich

na szpital. Zyberg otrzymał list także, z którego się dowiedział, że matka

Oktawa wygrała swój wielki proces i że tym sposobem syn jej stał się panem

znacznej fortuny.

Wkrótce potem Jarski porzucił służbę wojskową i wraz z matką osiadł w kraju,

ożeniwszy się bardzo szczęśliwie. Matka jego uważała się nieraz, że zanadto

spoważniał.

KONIEC.